Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK II NR. 16 (40) WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1933 R. CENA 50 GR.

List otwarty do Karola Radka

w sprawie „Kultury rodzącego się socjalizmu"

W numerze poświęconym kulturze sowieckiej „Wiadomości Literackie" drukują na czołowem miejscu artykuł Karola Radka p. t. „Kultura rodzącego się socjalizmu". Zaszczytne to miejsce należało mu się niewątpliwie, gdyż jest to jedyny w całym numerze artykuł ujmujący zagadnienie „budownictwa socjalistycznego" w sposób inteligentny i głęboki. Inne są wprawdzie interesujące ze względu na bogaty materjał informacyjny o życiu Rosji sowieckiej, o którem pragnęlibyśmy wiedzieć jaknajwięcej, ale nie świadczą dobrze o umysłowości swych autorów; wieje z nich naogół czczość i nuda, stereotypowy, wyuczony frazeologizm czerpany z elementarza rewolucji, oraz absolutny brak oryginalności w ustosunkowaniu się do tak bądź co bądź zadziwiającego zjawiska dziejowego, jakim jest przewrót komunistyczny.

Karol Radek określa rzeczywistość sowiecką, jako nowy świat kultury tworzący się w skali tak olbrzymiej, że jest on niejako samowychowywaniem się nowej ludzkości (kolektywnie) i nowego człowieka (indywidualnie). Jako charakterystyczne cechy tej kultury podaje: 1) masowość t. j. udział miljonowych rzesz ludowych w jej budowaniu, 2) międzynarodowość narodową, t. j. powstającą przez współudział odrębnych kultur narodowościowych, zjednoczonych na gruncie jednej doktryny społecznej, 3) samorząd świata pracy, 4) prometeizm techniczny oparty na najdoskonalszej teorji rzeczywistości (Marks) i najdoskonalszej metodzie (djalektyka Hegla), 5) stwarzanie wszystkim jej uczestnikom *warunków rozwoju indywidualności* (to ostatnie jest najciekawsze, bo dotąd uważaliśmy komunizm za system, niwelujący jednostkę na rzecz całości — *przyp. nasz).*

Wśród tych określeń niema ani jednego, któreby nie brzmiało mile dla naszego ucha. Czyż bowiem nie pragniemy masowego budownictwa kultury, zharmonizowania idei narodowej z ogólnoludzką, prometeizmu organizacji i wiedzy, rozwoju osobowości w zgodzie z kolektywem, a nawet samorządu świata pracy (jeżeli będzie ona pojęta, jako czynność twórcza)? Warto jednak zastanowić się, jak należy rozumieć wszystkie powyższe określenia; i czy konkretna rzeczywistość, jaka się pod niemi ukrywa, wytrzymuje krytykę nowoczesnej myśli polskiej, z jej filozoficznego i historjozoficznego punktu widzenia.

Gdybyśmy oceniali system sowiecki pod kątem nadziei, jakie wiązała wolna myśl europejska z ruchem rewolucyjnym mas pracujących, znaleźlibyśmy niewątpliwie same minusy. Nie zostały przezeń zrealizowane ani wolność polityczna i spekulatywna, ani idea pokoju, ani wartość absolutna jednostki, ani swoboda pracy, ani wreszcie wykorzenienie wszelkiego rodzaju religjanctwa i fanatyzmu. Ucisk polityczny *jest*, ograniczenie wolności myśli *jest*, militaryzm i system policyjny *jest*, przymus pracy w warunkach narzuconych przez zbiorowość *jest*, fanatyzm religijny jest także, bo przecież marksizm jest w w Sowietach swego rodzaju religją państwową. Nie brak nawet i mistycyzmu, bo tak rozpowszechniony wśród mas kult maszyny, graniczy z nim napewno. Nie brak więc żadnej z tych form, które zwalczała „postępowa" Europa, a nawet ucisk ich wzmożono do maksimum, co sprowokowało, jako reakcję podobne kontr-systemy na Zachodzie. Brzmieć to będzie jak srogi, nieodparty wyrzut: gdyby nie było przewrotu rosyjskiego, takie okropności, jak hitleryzm, nie byłyby w Europie nowoczesnej nawet do pomyślenia.

Ale p. Radek może na to wszystko odpowiedzieć — z dużą dozą słuszności — *że* „nadzieje postępowej myśli europejskiej" ani go ziębią, ani grzeją i bolszewizm wcale nie miał zamiaru realizować tych utopij; że, wprost przeciwnie, zgóry był przygotowany na radykalne zerwanie z idealistycznemi mrzonkami wylęgłemi w głowach znudzonych malkontentów starego świata kapitału; *że* organizatorom rewolucji październikowej i budownictwa socjalistycznego szło o coś zupełnie innego, a większego od tamtych przebrzmiałych ideałów.

Dlatego wypada pomyśleć lojalnie nad takiem postawieniem sprawy i spróbować uświadomić sobie, czy naprawdę przewrót w Rosji stworzył coś tak nowego i wielkiego, jakąś rzeczywistość olśniewająco odmienną, od wszystkiego, co genjusz rozwijającej się ludzkości zdołał dotychczas wyprodukować. Nie idzie nam przytem wcale o kwestjonowanie dorobku rewolucji, o krytykę piatiletki, o demaskowanie smutnej prawdy, kryjącej się poza oszałamiającemi cyframi statycznemi, być może bowiem, że te demaskarady to plotki burżuazyjne, rozsiewane umyślnie przez hydrę kapitału w celu zdyskredytowania „budownictwa socjalistycznego". Chcemy pomówić o rzeczach, które nie stracą swej wagi, gdyby nawet piatiletka udała się, a liczba analfabetów istotnie zmalała o kilkadziesiąt procent.

Postępujmy więc systematycznie, aby uniknąć zarzutu powierzchowności, który byłby conajmniej nieusprawiedliwiony, gdyż chodzi nam właśnie o intensywne pogłębianie problemów (wiedzą o tem czytelnicy „Zetu"). Wysublimowujmy po kolei coraz wyższe i bardziej adekwatne określenia „nowej, rodzącej się kultury", aby przejść do porządku nad wszelką, frazeologiczną łatwizną i rozprawić się naprawdę z tem, co p. Radek uważa za żelazny kapitał, za twierdzę ideologiczną systemu.

Pierwsza platforma.

W czem tkwi nowość i wielkość kultury sowieckiej, uprawniająca jej przedstawicieli do wyrokowania z druzgocącą pogardą o dorobku duchowym zachodniej Europy? Czy w ideale dobrobytu materjalnego, uważanego, jako spełnienie odwiecznej walki dziejowej *o szczęście ludzkości?* Chyba nie, bo ideał ten wypisała na swoim sztandarze materjalistyczna, zachłanna na dobra ziemskie, cywilizacja burżuazyjna. Wprawdzie Lenin miał powiedzieć do tłumów robotniczych: „Pamiętajcie, że bogiem waszym jest żołądek", ale był to chyba tylko brutalny gest agitacyjny i każdy ideowy komunista wzdrygnąłby się przed taką degradacją człowieczeństwa, sprowadzającą rzeczywistość do pasibrzuchowatej organizacji spożywania i używania.

A więc może szło o abstrakcyjną sprawiedliwość, pogwałconą przez to, że tylko klasy uprzywilejowane miały dostęp do dobrobytu i komfortu konsumpcyjnego, zaś szerokie warstwy nieposiadające były go pozbawione? Gdyby tak było, to wyrżnięcie tych klas uprzywilejowanych i zrównanie praw społeczno - ekonomicznych do poziomu ulicy, byłoby wystarczającym aktem sprawiedliwości dziejowej i po tym odwecie rewolucja proletarjacka nie miałaby już nic do roboty. O „nowej, rodzącej się kulturze" nie mogłoby tu być mowy.

Nowość ta polegałaby co najwyżej na usunięciu przeżytych warstw społecznych, które i tak były już niezdolne do dalszej twórczości kulturalnej i na zastąpieniu ich przez nowy, niewyczerpany rezerwoar sił ludzkich, niosący w sobie potencjalnie nieznane jeszcze wartości dziejowe. Ale byłby to czyn należący do dziedziny automatycznych procesów historycznych, w niczem nie lepszy od wędrówki ludów, lub od sukcesów Attyli. Krwawe te hordy również użyźniły grunt pod nowe epoki dziejów, trudno jednak szukać w tem dla nich tytułu do sławy.

Błędem też byłoby utrzymywać, że doniosłość komunizmu państwowego polega na stworzeniu nowych form współżycia zbiorowego, opartych na wyłączności typu „homo oeconomicus", dla którego kategorje gospodarcze, (produkcyjno - konsumpcyjne) są absolutnem kryterjum rzeczywistości. Idea człowieka gospodarczego jest wynalazkiem kapitalistycznego liberalizmu, zaś ten typ współżycia zbiorowego należy do zamierzchłej epoki historycznej, kiedyto ludzkość jeszcze nie zdołała stworzyć wyższych form współżycia, takich, jak zrzeszenie prawne (państwo) i zrzeszenie etyczne (kościół). Wykorzenianie z psychiki ludzkiej ideałów moralno - politycznych i ideałów religijno - metafizycznych jest okrutnem okaleczaniem człowieczeństwa, dewastacją dorobku kulturalnego tysiącleci, i gdyby „nowa kultura" ograniczała się tylko do tego, byłaby ona niczem innem, jak starem, sztucznie zregenerowanem barbarzyństwem.

Chyba więc powyższych zjawisk nie uważa p. Radek za cechy charakterystyczne nowej kultury ludzkości, są one bowiem ponuremi, ubocznemi produktami tego potężnego przewrotu i mocno trącą nieprzyjemną starzyzną.

Druga platforma.

Nie pozostaje tedy nic innego, jak dźwignąć się na wyższą platformę historjozoficzną i z niej rozpatrywać to zagadnienie. Znajdzie się tutaj kilka określeń, które teoretycy marksizmu uważać będą niewątpliwie za podstawowe. Mamy na myśli: ideę materjalizmu historycznego, ideę samorządu pracy i ideę planowej organizacji gospodarstwa społecznego.

Pierwszej trudno odmówić dużej doniosłości, jako jednej z nielicznych prób wytłumaczenia totalnego (całościowego) historji, dla jej opanowania przez świadomy wysiłek ludzkości. Przed Heglem prób takich tak jakby nie było w filozofji europejskiej, jeśli pominąć koncepcje „powrotów cyklicznych" Vica, pojęcie historji jako zbiorowego procesu wychowawczego ludzkości u Lessinga, analogje z okresami życia jednostki u Krauzego i t. p. Bo też tylko Hegel, jako pierwszy wielki *filozof kultury* mógł się na nią zdobyć. Jeżeli jednak Marks, przyswoiwszy sobie heglowski pogląd na dzieje, umiał go pomysłowo usystematyzować i rozwinąć, to napewno skrócił go o głowę, nielitościwie zeń eliminując to, co dotyczyło ewolucji ducha absolutnego i jego najwyższych kreacyj: filozofji, religji i sztuki. Marx okaleczył historjozofję heglowską, wziął z niej tylko jeden fragment: ekonomiczny (patrz u Hegla: historjozofja narodu, państwa, religji, nauki) i przyprawił go dla użytku praktycznego, nie dbając o to, że całe olbrzymie działy rzeczywistości i twórczości kulturalnej ludzkości zostały poza nawiasem, niewyjaśnione i niepowiązane. Dlatego historjozofja marksowska ma tyle słabych punktów, że — gdy się ją ocenia z platformy osiągniętej przez polskich filozofów historji: Hoene - Wrońskiego, a nawet Cieszkowskiego — to jest już dawno pogrzebana, jako jednostronna, intencjonalnie naciągana i poprostu nienaukowa. Dość zauważyć, że Marx nie dostrzega, obok djalektycznej walki klas, innej jeszcze gry przeciwieństw, mianowicie t. zw. *antynomji społecznej*, czyli rozłamu ludzkości na dwa typy psychiczne (zachowawczy i postępowy), których przeciwstawność datuje się od wczesnych zawiązków historji, a rozwija się do maksimum w Europie nowożytnej; nieuwzględnienie tego zjawiska, (ściśle politycznego, a *nie ekonomicznego)*, którego głęboką teorję dał Hoene - Wroński, dyskwalifikuje już djalektykę dziejową Marksa, jako niewspółczesną.

Dlatego p. Radek, gdy pisze: „Pięćdziesiąt lat minęło od śmierci Marksa, świat jednak dotychczas nie stworzył poglądu na świat bardziej zwartego, bardziej uzasadnionego, niż marksowski" — jest w wielkim błędzie. Mówimy to z całem poczuciem odpowiedzialności za nasze słowa. Pewien uczony polski, który przebywał niedawno w Rosji sowieckiej, twierdzi, że uważają tam cywilizację zachodnią za cofniętą w rozwoju o 50 lat wstecz w porównaniu z ich heglo-marxizmem i że czują się dostatecznie przygotowani, by ruszyć na podbój Europy nie orężem, lecz myślą spekulatywną, uzbrojoną w potężny rynsztunek argumentów czysto rozumowych. Jeżeli to jest prawdą (a wysłanie ekipy uczonych sowieckich na warszawski Kongres Historyków zdawało się to potwierdzać) to polska myśl spekulatywna przyjmuje wyzwanie z zupełnym spokojem. Jeżeli są w Sowietach ludzie zdolni wskrzesić tradycje słynnych polemik Lenina, to arena do takiej dysputy stoi otworem. Niechże djalektyka sowiecka przybije swoje tezy, wzorem Lutra, na bramach kościoła filozofji polskiej, a znajdą się dla niej przeciwnicy godni i sumienni, którzy nie będą napewno wykręcać się sianem „frazeologji burżuazyjnej".

Jeżeli jednak historjozofję marksowską uważa się u nas za przeżytek, to może idea samorządu pracy uprawnia system sowiecki do nazwania się kulturą nowego człowieka i nowej ludzkości? — Byłoby tak niewątpliwie, gdyby teoretycy rosyjskiego „świata pracy" umieli wznieść się w swej filozofji pracy na tę wyżynę, jaką osiągnęli Cieszkowski, Norwid, a w pierwszym rzędzie Brzozowski. Jeżeli bowiem idea pracy, wcielona w międzynarodowe społeczeństwo swobodnych pracowników, ma być zdolną do objęcia w spadku całego dziedzictwa historji, całej cywilizacji technicznej, i kultury duchowej, wypracowanej przez tysiąclecia, to musi ona wykazać się swoją wyższością (zarówno w teorji poznania, jak w praktyce dziejowej), swoją konstruktywnością t. j. takiem kierownictwem ludzkości, by nic z jej zdobyczy dotychczasowych nie zostało uronione, i by do osiągniętego poziomu dobudowane zostały jeszcze niebotyczniejsze piętra postępu. Musianoby udowodnić, tak jak usiłował to zrobić nasz Brzozowski, że praca jest prawdziwym Logosem historji, że wytwarzanie jest *w bycie* analogiczne do czystego procesu stwórczego w dziedzinie *wiedzy*. O takiej filozofji wytwórczości rozwijającej się w Sowietach nic nam nie wiadomo. Dlatego nie wiemy, co uprawnia sowiecki samorząd pracy do bezlitosnego karczowania tych warstw społecznych, które wniosły w kulturę powszechną wartości olbrzymie, a hodowania *nowej ludzkości* wyłącznie ze środowiska robotniczego. Zdaniem naszem nie co innego, jak ta bezzasadność metafizyczna sowieckiego samorządu pracy, jego brak ugruntowania w najwyższej sferze spekulatywnej, jest przyczyną klęski, jaką idea socjalistyczna ponosi dziś na Zachodzie, gdzie „organizacja militarno-religijna" okazała się bynajmniej *nieprzezwyciężoną historycznie* przez „organizację wytwórczą" społeczeństwa *).

W proteście przeciwko temu wysunąłby niewątpliwie p. Radek ideję planowej organizacji gospodarstwa społecznego, jako konkretny dowód zdolności świata pracy do objęcia dziedzictwa historji i dołączenia doń nowych wartości, dotychczas nieznanych. Planowa organizacja oznaczać ma jakoby wyzwolenie się człowieka z pod praw przyrody i opanowanie tem samem żywiołu historji przez swobodny, świadomy samorząd ludzkości. Ale idea ta jest błędna w samem założeniu, gdyż: 1) ogranicza prometeizm ludzki do dziedziny problemów czysto fizycznych, podczas gdy żywiołem historji są *problemy moralne, hyperfizyczne, rozumowe*, 2) pozostaje w sferze mistycyzmu i utopizmu dziejowego, nie zna bowiem absolutnych praw matematycznych, które panują w dziedzinie zjawisk ekonomicznych i które użytkować można tylko przez podporządkowanie się im, a nie przez ich przełamywanie, jak się to dzieje w Sowietach. Nowoczesna fizyka zredukowała substrat wszechświata fizycznego do systemu fal, będących w istocie tylko wielkościami matematycznemi; ponieważ zjawiska ekonomiczne stanowią substrat czysto fizyczny, przyrodę historji, koniecznem jest sprowadzenie ich do prostego systematu funkcyj matematycznych (tak jak to uczynił największy matematyk Hoene-Wroński, w swej *ekonomji dynamicznej).* Dźwignięcie się ponad liberalizm, tę naturalną grę sił ekonomicznych, możliwe jest tylko na tej drodze, ale do tego jeszcze systemowi sowieckiemu daleko, i myśl polska, posiadając nawskroś nowoczesną, matematyczną filozofję ekonomji, musi uważać sowiecką organizację planową za błądzenie poomacku w ciemnościach.

Trzecia platforma.

Należy jednak przyznać, że ambicje „nowej, rodzącej się kultury" sięgają znacznie wyżej, w sferę prawdziwego prometeizmu historycznego, którego wzniosła idea mogłaby usprawiedliwić wszystkie poprzednio zaznaczone braki i pośliźnięcia ‚gdyby... gdyby prometeizm ten nie był tam rozumiany tak bardzo naiwnie i fałszywie.

Prometeizm ten znajduje swój wyraz w artykule p. Radka, tam gdzie mówi on o djalektyce w naukach przyrodniczych, o przyszłym niebywałym rozwoju technicznym, o wyprowadzeniu myśli człowieczej z labiryntu agnostycyzmu, o twórczym, wynalazczym duchu nowej ludzkości. Z radością czytamy tam o „bezdusznym empiryzmie" i o „tchórzliwym agnostycyzmie", bo są to oznaki prawdziwego prometeizmu myśli, usiłującej wyzwolić się z warunków fizycznych, w jakich drzemie spętana od wieków. Ale i tu nie widzimy jeszcze, by myśl sowiecka wyplątywała się z matni, w jakiej tkwi wraz z nią — cały empiryzm i dogmatyzm cywilizacji zachodniej.

Co do zużytkowania Hegla i Marxa do reformy nauk przyrodniczych, to metoda djalektyczna jest już maszynerją arcy-przestarzałą, — może nie dla Zachodu, ale dla nas, odkąd istnieje *metoda genetyczna* Hoene-Wrońskiego, której trychotomji (trójcowości) podstawowej słabem przeczuciem tylko był heglowski trójrytm tezy - antytezy - syntezy. Filozof francuski F. Warrain obalił definitywnie triadę heglowską **) zapomocą triady elementów pierwotnych Prawa Stworzenia Hoene-Wrońskiego. Jeszcze gruntowniej utrąca ją tegoż Prawa Stworzenia trychotomja najwyższa, związująca filozofję teorji rzeczywistości *z filozofją technji rzeczywistości*, otwierającą nowy okres w dziejach nauki. Dowód potęgi poznawczej tego prawa dał Wroński w swej filozofji matematyki, rozwiązując wszystkie najwyższe zagadnienia tej nauki, dotychczas uważane za nierozwiązalne; od dziś stanowi ono klucz do wszystkich „tajemnic przyrody", zapoczątkowując generalną reformę wszystkich nauk przyrodniczych, a nawet socjologiczno - historycznych przez nowe zastosowanie go pod postacią Prawa Postępu. Ów niebywały rozwój techniki, o którym mówi p. Radek, możliwy jest tylko na tej drodze. Dowiódł tego Wroński 100 lat temu, zapowiadając podzielność atomu, odkrywając prawdziwą budowę światła i materji, prawa równowagi cieczy, prawa układów galaktycznych (w swej reformie mechaniki niebieskiej), dokonując szeregu wynalazków technicznych z dziedziny lokomocji i t. d.

Wyprowadzenie myśli ludzkiej z labiryntu agnostycyzmu odbędzie się napewno nie tak, jak sobie to wyobraża p. Radek. Nitką Ariadny może tu być jedynie myśl Brzozowskiego o całkowitej przemianie naszego obrazu świata *ze świata gotowego, zastanego, w świat stwarzany*. Niestety towarzysze socjalistyczni nie zrozumieli ani w ząb o co chodziło Brzozowskiemu i dlatego myśl sowiecka znajduje się wciąż na etapie naiwnego intelektualizmu, a więc na tym samym, co i myśl burżuazyjnej Europy. Nawet Hegel jest tam pojmowany po przedkantowsku, a nie w swojej postaci transcendentalnej. To też „budownictwo socjalistyczne" gruntuje się wciąż na dogmatycznej wizji świata gotowego, przyrodniczego, który *jest do poznania*, aby go następnie przetworzyć i świadomie eksploatować. Tymczasem filozofja polska przynosi ludzkości świat nowy, w którym nie istnieje nic prócz potencjalności twórczej istot rozumnych, a wszystko *powinno być stworzone*, nie wyłączając pojedynczego człowieka i całej ludzkości. Idea samostworzenia się człowieka i samostworzenia się ludzkości, którą przeczuł Brzozowski, a która jest podstawą olbrzymiego systemu filozofji kultury Hoene-Wrońskiego, — jest pierwszem w dziejach rozbiciem fikcyjnej skorupy świata gotowego, pierwszym prometejskim czynem rozumu ludzkiego, otwierającym przed ludzkością nieskończoność wynalazczych możliwości twórczych, aż do wolnego przeobrażania kosmosu fizycznego i moralnego.

Czy stojąc na takiem stanowisku możemy entuzjazmować się prometeizmem „nowej, rodzącej się kultury socjalistycznej"?

---

*) W cudzysłowach definicje Brzozowskiego na oznaczenie idei narodowej i idei internacjonału.

**) W „L'Armature metaphysique" wydanej we Francji.

Wronskiana

Francja. — Francis Warraina: „L'oeuvre philosophique de Hoene - Wroński. Textes. commentaires et critiques", t. I ukazało się w wydawnictwie Végа, Paris (rue Madame, 43). Jest to tom I-szy zapowiedzianego przed 2 laty zbiorowego wydania dzieł H.-Wrońskiego, którego całość objąć ma 7 tomów. Tom ten składa się z działów: mesjanizm — filozofja — rozwinięcia metafizyczne — metodologja; ma on przygotować czytelnika do wykładu Prawa Stworzenia, które ukaże się w tomie II-gim. Wydawnictwo to — na jakie Polska dotychczas nie mogła się zdobyć — doszło do skutku we Francji dzięki wytężonej pracy znakomitego metafizyka i długoletniego badacza filozofji absolutnej F. Warraina, oraz ofiarności pp. E. Britt, którzy je sfinansowali. Jak widać z I-go tomu, wydawnictwo zapowiada się monumentalnie. Cena tomu 35 fr. — Szersze omówienie zamieścimy w „Zecie".

Peru (Ameryka Połd.) — Prof. dr. Godofredo Garcia wydał: „Mecanica Celeste", Lima, 1933. W pracy tej wykłada on podane przez Hoene-Wrońskiego prawa mechaniki nieba i rozważa je w związku z wynikami klasycznej mechaniki nieba, przyczem uwzględnia prace F. Villareala, Villarceau, Leverriera i Poincarégo. Wyprowadzone przez H.-Wrońskiego na drodze filozoficznej prawo najwyższe mechaniki nieba otrzymuje uczony peruwjański w identycznej postaci zapomocą dedukcji matematycznej. Pracę tę cechuje ścisłość rozumowania i jasność wykładu. Zaznajamia ona doskonale czytelnika z reformatorskiemi koncepcjami (w dziedzinie mechaniki niebios) Hoene - Wrońskiego, którego zwie „sławnym Polakiem, wielkim uczonym".

Stany Zjednoczone A. P. — Frank Walser, który spędził kilka lat w Polsce i, poznawszy tu filozofję polską, stał się gorącym zwolennikiem doktryny Hoene-Wrońskiego, wydał obecnie: „The art of conference", Harper, New York — London, 1933. W książce tej autor, rozwijając swe poglądy na sztukę prowadzenia wykładów i odczytów, omawia życie i dzieło H.-Wrońskiego, cytując go wielokrotnie.

Polska. — Czesław Jastrzębiec-Kozłowski zebrał w całości artykuły drukowane w „Zet" p. t. „Dialog o nicości" i „Rozmyślania", wydając je w pracy: „Absolut i względność" (wstęp do Wrońskiego), Bibljoteka „Zet", Warszawa, 1933. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Studjum to, dotyczące zwłaszcza Wrońskiego filozofji psychologji, przedstawia wysoką wartość prolegomeniczną dla pragnących zapoznać się z doktryną.

Ciało kierownicze

czyli najwyższy koordynator ustrojowy

Jest oczywistem, że cały olbrzymi kryzys ustrojowy, jaki przechodzi — wśród tak potwornych wstrząsów i cierpień — Europa współczesna, polega na gorączkowem poszukiwaniu *czynnika równowagi* pomiędzy elementem władzy, a elementem wolności obywatelskiej. Bankructwo zasady ludowładztwa jest dzisiaj faktem dokonanym i próby wskrzeszenia starych haseł rewolucji francuskiej byłyby niewątpliwie odrzucone kategorycznie przez ludzkość cywilizowaną. Zrozumiano nareszcie konieczność wwindowania z powrotem na wysoki piedestał dziejów podeptanego przez głupich doktrynerów i obałamucone przez nich tłumy transcendentnego *autorytetu władzy.* Ideologja „wodza" i jego bezwzględnej supremacji nad narodem, opanowująca wszystkie niemal kraje Europy, jest wyraźnem, krzyczącem w niebogłosy świadectwem potrzeby przywrócenia roli kierowniczej jednostki w ustroju państwa.

Jednakowoż wskrzeszenie prymitywnych form absolutyzmu jest dziś, w warunkach nowoczesnych, nie do pomyślenia, byłoby ono bowiem przekreśleniem logiki rozwojowej historji i zbrodniczym zamachem na wysoko rozwinięty już w narodach europejskich element wolności obywatelskiej, implikujący prawa obywateli do uczestnictwa we władzy. Dlatego nieodzownem jest przywrócenie zwichniętej równowagi ustrojowej zapomocą czynnika nowego, rozwiązującego w sposób decydujący ten nawskroś nowoczesny problemat społeczno-polityczny. Konwulsyjne drgawki porodowe powojennej Europy są nie czem innem, jak próbami powołania do życia tego właśnie czynnika koordynującego, zdolnego pokierować losami świata tak, by otworzyć wreszcie znużonej upływem krwi ludzkości wrota nowej, szczęśliwszej ery historycznej.

Eksperyment faszystowski we Włoszech, narodowo-socjalistyczny w Niemczech ,a nawet — z zastrzeżeniami — sowiecki w Rosji, wreszcie dojrzewający przełom w opinji publicznej Francji i Anglji, zmierzają ku wysublimowaniu tego *krzyku współczesności,* tego ostatniego słowa w dziedzinie ustrojowej; czynią to jednak na ślepo, pchane gwałtowną koniecznością dziejową, nie wiedząc, że to ostatnie słowo zostało już wypowiedziane, uzasadnione, sprecyzowane i czeka tylko wcielenia w konkretność polityczną.

Geneza historyczna ciała koordynującego.

Próżnię, jaka wytworzyła się w ustroju politycznym Europy, naskutek braku owego czynnika nieodzownego, usiłują zapełnić wszystkie powyższe eksperymenty następującemi „namiastkami":

1) koordynacją czynnika władzy i czynnika obywatelskiego w jednym masywie politycznym, w którym „wódz" stanowi biegun dodatni ,aktywny, a jego „obóz" biegun ujemny, organ uległej i wolnej zarazem dyscypliny politycznej (Włochy, Niemcy, Polska dnia dzisiejszego i t. d.);

2) koordynacją interesów państwa z *poświęceniem* obywatelskiem grupy, dojrzałej do zrozumienia budowy państwa i wzięcia osobistej odpowiedzialności za nie na swoje barki (elitaryzm współczesny, wychowanie państwowe, obywatel „świadomy i twórczy");

3) określeniem *celu końcowego* państwa, przez próby stworzenia państwa ideokratycznego, służącego realizacji jakiejś teorji czy doktryny społecznej, utożsamianej przez jej autorów z celami najwyższemi ludzkości (w pierwszym rzędzie Rosja sowiecka, dalej Włochy i Niemcy);

4) wyraźną *dążnością do absolutu* w określeniu roli państwa w życiu nowoczesnem, przez uczynienie zeń potęgi niewarunkowej, nadrzędnej, zdolnej pomieścić i rozwiązać w sobie całość zagadnień dotyczących przeznaczeń najwyższych ludzkości (zasada „państwo ponad wszystkiem" i „wszystko dla państwa");

5) dążnością do ustanowienia antycypacji *rządów rozumu,* czyli takiej formy rządów, w której czysta wiedza i pewność naukowa będzie czynnikiem rozstrzygającym o takich lub innych posunięciach politycznych na terenie gospodarczym i prawno-organizacyjnym (obecny kierunek państwowy w Rosji sowieckiej, przedewszystkiem zaś amerykański „Trust Mózgów", jako ciało doradcze prezydenta).

Powyższe dążności, będące poczuciem i próbnem kształtowaniem owego czynnika koordynującego. znajdują swój moment kulminacyjny w utworzeniu instytucyj takich, jak Wielka Rada Faszystowska we Włoszech, Polit-biuro w Sowietach, rada przyboczna Hitlera w Niemczech, „Trust Mózgów" w Stanach Zjednoczonych. Jednakowoż instytucje te, nie mając jeszcze ugruntowania w doskonałej teorji państwa, i będąc częściowemi tylko wyrazami tych potrzeb, jakie postulują dziś utworzenie prawdziwego Ciała Kierowniczego, — są organami prowizorycznemi i przejściowemi, niezdolnemi do wypełnienia swych arcytrudnych zadań.

Dedukcja metafizyczna ciała koordynującego.

Nowy czynnik ustrojowy, którego domaga się tak nieodparcie epoka współczesna, powinien — praktycznie rzecz biorąc — połączyć w sobie wszystkie te cechy i atrybucje, jakie określiliśmy w ustępie poprzednim. Powinien mianowicie skoordynować czynnik władzy i czynnik wolnej uległości obywatelskiej, utożsamić interes państwa z poświęceniem elity obywateli, założyć problemat celu końcowego państwa, usymbolizować w sobie dążność do absolutu, cechującą państwo nowoczesne, i urzeczywistnić prawdziwe rządy rozumu, wprowadzające do ustroju państwa czysty, bezinteresowny autorytet wiedzy.

Aby jednakowoż praktyczne połączenie tych wszystkich funkcyj i określeń w jednym czynniku ustrojowym było możliwe i aby jego rola koordynująca była należycie zrozumiana przez społeczeństwo, — trzeba koniecznie ugruntować to nowe ciało prawne, na podstawie najwyższych założeń filozofji państwa. Czynimy to w sposób następujący:

I. Państwo jest systemem *równowagi* między prawem ludzkiem a prawem bożem t. j. między obywatelami a zwierzchnikiem. Doskonałość ustroju państwowego polega tedy na umiejętnem regulowaniu, koordynowaniu i kierowaniu gry wzajemnej między zasadami wolności i przymusu.

II. Źródłem i regulatorem tej gry są *prawa,* będące podstawowym elementem państwa. Prawa te są niczem innem, jak prawami moralnemi, normującemi stosunki wzajemne między istotami rozumnemi. Prawa moralne — to: sprawiedliwość. Sprawiedliwość jest tedy ideą naczelną i prawem najwyższem państwa. Państwo istnieje poto, aby abstrakcyjna zrazu idea sprawiedliwości, została konkretnie urzeczywistniona w stosunkach społecznych.

III. Sprawiedliwość urzeczywistniona, jest to *wolne posłuszeństwo* prawom moralnym t. j. taki ustrój społeczny, w którym przymus zewnętrzny moralności, zostanie zastąpiony przez dobrowolnie uznany, wewnętrzny nakaz obowiązku w duszy człowieka-obywatela. Znaczy to, *że* celem końcowym państwa jest stworzenie społeczeństwa doskonałego, w którym cele moralności (= prawo Boże) będą jednocześnie własnemi celami obywateli (= prawo ludzkie).

IV. Aby społeczeństwo takie stało się faktem dokonanym, koniecznem jest rozwinięcie w ludziach maksimum doskonałości osobowej, czyli maksimum *samorzutności rozumu.* Najwyższą samorzutność rozumu osiąga się przez połączenie w sobie rozumu praktycznego (nakaz obowiązku t. j. poświęcenie dla celów końcowych ludzkości) i rozumu spekulatywnego (wolność myśli t. j. potęga i pewność wiedzy). Aby więc państwo osiągnęło swój cel ostateczny, musi ono dopomóc obywatelom w zdobyciu absolutnej samorzutności rozumu. Przeczucie tak olbrzymich zadań, jest właśnie podstawą owej dążności do absolutu, jaka cechuje państwa współczesne.

V. Zadania te, związane z przeznaczeniami ostatecznemi ludzkości na ziemi, bo z organizacją postępową doskonałego ładu moralnego, nie mogłyby być przez państwo wypełnione, gdyby nie istniał w niem czynnik, wysunięty wysoko ponad doraźną aktualność polityczną, czynnik absolutnie bezinteresowny, oceniający wszystkie sprawy pod kątem wyżej określonego celu najwyższego państwa i z punktu widzenia *czystego rozumu.* Otóż ten kierunek stały spraw publicznych ku celowi końcowemu państwa jest właśnie atrybucją owego czynnika koordynującego, który Wroński zwie w swej „Metapolityce" Ciałem Kierowniczem (w znaczeniu nadawania kierunku, a nie jakiejś władzy nadrzędnej, sprawującej rządy bezpośrednie, bo te należą do prezydenta i władzy wykonawczej).

Atrybuty i konsekwencje.

Widzimy, że powyższa dedukcja metafizyczna (t. j. czysto rozumowa) doprowadziła nas do tego samego wniosku, który — na drodze praktycznej — zmuszona była wyciągnąć Europa współczesna w swoich eksperymentach ustrojowych. Jest to oczywistym dowodem, że ciało koordynacyjne prędzej, czy później powstać musi i powinno. Dlatego państwo, które pierwsze wyciągnie logiczne konsekwencje z założeń przytoczonych, trafi w sam obnażony nerw aktualności i nada ton nowej epoce dziejów.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że pięć punktów dedukcji metafizycznej Ciała Kierowniczego pokrywa się w zupełności z pięciu podanemi powyżej cechami powojennych eksperymentów ustrojowych: koordynacją władzy i uległości, organizacją elity, dążnością do celu końcowego państwa, aspiracjami państwa do roli absolutu w życiu społecznem i przygotowywaniem rządów rozumu. Toteż połączenie wszystkich tych dążności praktycznych z wydedukowanemi określeniami spekulatywnemi daje wystarczający schemat Ciała Kierowniczego i jego atrybucyj w życiu politycznem państwa.

Ma ono reprezentować czysty element PRAW samych w sobie, nie wkraczając w atrybucje innych ciał, mających za przedmiot ich aktualne obmyślanie, uchwalanie i zastosowywanie (ciało wykonawcze, ustawodawcze i sądowe). Ma ono reprezentować czystą ideję SPRAWIEDLIWOŚCI, absolutnie niezależną od zmiennych konjunktur historycznych. Ma pobudzać i nagradzać POŚWIĘCENIE obywatelskie. Ma uzgadniać doraźne poczynania polityczne z CELEM KOŃCOWYM państwa. Ma czuwać nad tem, by ABSOLUTNE wartości duchowe i kulturalne nie były wystawione na szwank w zamęcie przemijających wydarzeń i przemian. Ma stanowić dla najwyższych czynników w państwie bezinteresowny, doradczy głos ROZUMU.

Przez koordynację rozumową elementu władzy z elementem wolnej uległości obywatelskiej Ciało kierownicze łagodzi wszelkie przeciwieństwa między zwierzchnikiem, w jego prawie do przymusu, a obywatelami, w ich prawie do wolności. W ten sposób zawiesza ono walkę pomiędzy prawem ludzkiem a prawem bożem, które — dzięki powstaniu Ciała kierowniczego nie mają już płaszczyzny bezpośredniego starcia się. Konsekwencją tego winno być ustanie rujnującej państwo walki lewicy z prawicą, czyli t. zw. antynomji społecznej. Również walka ekonomiczna pomiędzy kapitałem a pracą zostałaby usunięta przez wpływ Ciała Kierowniczego, gdyż zastąpiłby ją rozumowy, oparty na naukowych podstawach solidaryzm gospodarczy (rozwinięcie i udowodnienie powyższej tezy, zastrzegamy sobie na innem miejscu, w przyszłych numerach „Zetu"). Ciało Kierownicze stanowić ma również koordynator ustrojowy pomiędzy ciałem wykonawczem a ustawodawczem (rządem i parlamentem), które w obecnych warunkach wiodą spór ustawiczny, dążąc do supremacji jednego nad drugim.

Ale wpływ Ciała Kierowniczego nie ogranicza się do stosunków wewnętrzno-politycznych. Ustanowienie tego czynnika stworzyłoby bowiem pierwszą rozumną podstawę do zorganizowania prawdziwego Związku Państw, w miejsce nieudolnej, pozbawionej autorytetu rozumowego i moralnego Ligi Narodów (i ten moment rozwiniemy obszerniej w przyszłości).

Organizacja Ciała Kierowniczego.

Mógłby jednak ktoś wysunąć zarzut, że w dotychczasowym ustroju państw europejskich nie istnieje żadna platforma prawna i organizacyjna, na której możnaby się oprzeć, aby nie czynić eksperymentu zbyt jaskrawego, graniczącego ze skokiem w próżnię. Jak błędnem jednak byłoby to mniemanie, udowodnimy poniżej:

Historja mianowicie przygotowała już oddawna tę platformę organizacyjną, podatną do zbudowania na niej czynnika koordynującego. W każdem nowoczesnem państwie istnieje szereg instytucyj o charakterze nadrzędnym, stanowiących najwyższe instancje w zakresie sprawiedliwości, oraz odznaczania za poświęcenie obywatelskie i twórczość kulturalno-naukową. Są niemi n. p. Najwyższa Izba Kontroli, Trybunał Stanu, Najwyższy Trybunał Administracyjny, Izba Kasacyjna, Izba Podań, Kapituła Orderów (nazwy obojętne, gdyż niewątpliwie w każdem państwie brzmią one nieco odmiennie). Charakterystycznem jest, że w obecnym ustroju niewiadomo, gdzie właściwie przynależą te instytucje (do którego z ciał prawnych w państwie), tak że powstają na tem tle niejednokrotnie spory kompetencyjne. Otóż w „Metapolityce" wszystkie te instytucje są tylko elementami, częściami składowemi Ciała Kierowniczego. Przez połączenie ich w jedno ciało prawne, dodanie kilku nieodzownych nowych elementów i podporządkowanie ich jednej naczelnej Radzie Kierowniczej, otrzymalibyśmy całokształt czynnika koordynującego w jego postaci nawskroś nowoczesnej.

Dla dopełnienia uwag, dotyczących organizacji Ciała Kierowniczego, podajemy notę Wrońskiego: „Wszyscy członkowie Dyrektorjatu (Ciała Kierowniczego) są mianowani przez Zwierzchnika na wniosek Rady Państwa" (u nas Rada Ministrów).

Nagląca konieczność.

Podaliśmy tu po raz pierwszy, w formie względnie wyczerpującej całokształt problemu: genezę historyczną, dedukcję metafizyczną i określenie funkcyj nowego czynnika koordynującego, w braku którego Europa współczesna szamoce się krwawo i bezładnie w gorączkowych poszukiwaniach ustrojowych. Zagadnienie tej nieodzownej reformy politycznej nabrzmiewa dziś, pod różnemi, dziwacznemi często postaciami, wśród wszystkich narodów cywilizowanych. Jest niewątpliwem, że straszny kataklizm wojny światowej zbliżył nas tak dalece do jego rozwiązania, że chwila obecna dojrzała już u nas i wszędzie do postawienia go na porządku dziennym. Gdyby jednak reforma ta nie została w najbliższych latach dokonana, należy się liczyć z tem, że historja narzuci nam ją przemocą, dostępnemi sobie środkami. Mamy na myśli nową wojnę europejską, która wybuchnie z pewnością, jeżeli straszliwy kryzys ustrojowy, pożerający ludzkość współczesną, nie zostanie zażegnany. Dopiero wojna światowa, ze swym potwornym przelewem krwi, spowodować może w takim stanie rzeczy jeszcze wyraźniejsze pojawienie się na horyzoncie politycznym świata powyższego problemu.

Naród, który jest w posiadaniu koncepcji takiego rozwiązania, przerastającej genjuszem i mądrością historyczną wszystkie poczynania w tym zakresie, — państwo mające moc wprowadzenia w życie tej koncepcji prawdziwie zbawiennej, — bierze na siebie olbrzymią odpowiedzialność przed Bogiem i ludzkością za dopełnienie lub odrzucenie swego posłannictwa historycznego. Dlatego, w momencie szczególnie sprzyjającym, w okresie wszczętej w Polsce wielkiej dyskusji ustrojowej, przedkładamy oto czynnikom miarodajnym, oraz całej polskiej opinji publicznej, projekt powyższy do rozważenia. Czynimy to z całym naciskiem, podkreślając naglącą wagę zagadnienia.

Pan premjer, w przemówieniu swem podczas otwarcia izb ustawodawczych, zaznaczył, że rząd Rzeczypospolitej nie będzie wywierał nacisku na czynnik poselski w okresie dyskusji ustrojowej, pozostawiając taki lub inny projekt reformy konstytucji wyłącznej rozwadze Sejmu. Sądzimy jednakowoż, że w sprawie tak zasadniczej, jak *stworzenie nowego ciała prawnego w państwie,* głos parlamentu może być tylko doradczy, zaś inicjatywa Rządu i dostojna decyzja Pana Prezydenta winny być czynnikiem rozstrzygającym.

Tajemnica Genjusza

Z zapisków o Wyzwoleniu (I)

„Kto-żeś jest, widmo olbrzymie? Kto jesteś, wielki i dumny?, pyta Genjusza scenarjusz Wyzwolenia. Jakie twoje IMIĘ"?

Imię ducha, utrzymywali już Egipcjanie, to ten duch sam. Imię ducha, to jego prawda.

„Scena wielka otwarta: Kościół Boga czy Czarta, czem się stanie ta sztuki gontyna?"... Poznać imię Ducha, poznać jego prawdę, to może uchwycić sens tego, co się staje w tym teatrze: tego, co się stało i stanie na SCENIE.

*

Pozornie nic w tekście nie pozwala zidentyfikować Genjusza [1]). Była tylko wskazówka ustna: autor polecił go ucharakteryzować na krakowski posąg Mickiewicza. Z podobnym wieńcem u skroni, ale gdzie laury zastąpił oset — był to wyraźnie pierwotny posąg rygierowski, który tak skandalizował krakowskie kumoszki i... „znawców". Rzeźbę tę Wyspiański za jej nawskroś romantyzujący charakter cenił i uważał, że ona tylko dlatego „zła" jest w Polsce, że u nas nic do tej faktury i maniery nie przyzwyczaiło. I tak kończył swój artykuł w „Życiu": „Dzieło Rygiera niezawodnie wiele w sobie piękna mieści, a dając postać poety tytaniczną, olbrzymią i dumną, z gałęzią wawrzynu na rozwianych włosach, postać niejako wpół jeszcze skrytą ciężarem fałdów ciężkiej bronzowej larwy, postać człowieka, co poczynał unosić duszę nad poziomy — godne jest, aby stało w spokoju dla potomności, która będzie umiała ocenić piękne szczegóły, a nie będzie wydobywać na jaw i na kłótnie wyciągać przedewszystkiem tego, co wadliwe".

Był z tą opinją zupełnie odosobniony [2]) i pomnik, jak wiadomo, uległ przeróbce i banalizacji.

*

Trudno było udawać, że się nie wie, że Genjusz jest Mickiewiczem. Stąd próby zrobienia z Konrada - Słowackiego; stąd „zabijanie" Mickiewicza i inne bajki, któremi nas przez lata karmiono. Był także Genjusz przez czas pewien Krasińskim. Zanim epoka, która się o genjuszach informuje u stróżki, zrobić z niego miała Przybyszewskiego.

*

Stróżka jest stara i pamięć ją zawodzi. Stasinkiem w „Synach ziemi" Przybyszewskiego, zapewnia p. Waligóra, jest Wyspiański. A skoro Stasinkowi pomnik się niepodoba — jasnem jest, że Wyspiański zadrwił z Przybyszewskiego, przebierając go za pomnik Mickiewicza. Otóż, wiedziały o tem wróble krakowskie, „Stasinkiem" w „Synach ziemi" jest... Sierosławski, najbardziej humorystyczna figura z otoczenia Przybyszewskiego, którą wszyscyśmy znali. I na tym i tym podobnych „dowodach" opiera się cała „teza".

Prawdą w niej jest to tylko: Wyspiański nie mógł „potępiać" Mickiewicza a musiał „potępiać" przybyszewszczyznę, zielonobalonikarstwo i t. d. Wskazał też na nie w Weselu, na pierwszą — w postaci Nosa [3]), na drugie — w postaci Dziennikarza, właściwego twórcy Zielonego Balonika, R. Starzewskiego; tak, że końcowe prorocze słowa Stańczyka („kłam sercu, nikt nie zrozumie" i t. d.) dziś się w pełni do kreatury Starzewskiego, Dziennikarza - Boya odnoszą. Ale jeśli Wesele tak było aktualnem współcześnie, jak żadne inne dzieło sztuki tej miary — nie było tak z Wyzwoleniem. I nie był np. nigdy Samotnik podobizną prof. Lutosławskiego [4]). Wszystko, co tu weszło z współczesności, choć pozostało jej bliskie — zatraciło cechy czasowe i indywidualne a przeniesione zostało w takie regjony, że stamtąd już wogóle tych czy innych mistyk seksualnych — nie widać. A jeśli w Weselu właściwemi osobami dramatu były duchy, to tembardziej nie mogło być inaczej i tutaj. I jak tam wszystkie „dramatis personae" były osobą tą samą, tak i tu obaj protagoniści musieli być Mickiewiczem.

*

Nikogo tam ten w r. 1890 do Krakowa sprowadzony i później upomnikowany Mickiewicz do zstąpienia w grób otwarty nie zapraszał, ale to nie szkodziło — prof. Sinko stwierdził, żeśmy wszyscy przed 30-tu laty, pod wpływem lektury Krasińskiego i Mickiewicza, myśleli o samobójstwie i gdyby nie kabaret... Ale nawet on miewał chwile wątpliwości. Pytano się nieraz, tak pisze, czy „poezja grobów" miała istotnie taki wpływ na pokolenie z końca XIX-go w., jaki mu przypisywał Wyspiański. Pytano się oczywista bardzo głupio, skoro takiego wpływu było akurat tyle, co dzisiaj, t. j. nie było go wcale. Z kimże u licha odbyła się „walka" — przypuściwszy, że Konrad na tyle jest naiwny by mniemać, że zdoła cokolwiek odmienić? Skoro w r. 1902 „przeciwnik" nie istniał, Wyzwolenie nie miało żadnego sensu i można się niem było dalej nie zajmować. Można także było przypuścić, że akcja rozegrać się *musiała* w przyszłości. Uwzględniwszy pewne momenty, jak wyzwolenie Konrada z więzów przez maszynistów, ustawienie przez nich dekoracji i „wielki czyn" Karmazyna i Hołysza a i to także, że nie jest pewnem, czy postacie „komedji" widzą Genjusza i rozumieją co mówi — można było nawet dość dokładnie usytuować akcję w czasie. Ale ze „specjalnemi badaniami" nic to nie miało wspólnego.

Rzecz dziwna. Póki żył, pisali o nim, że się nie może wyzwolić z przeszłości. Dzisiaj to oni w niej szukają — tego, który stoi przed nimi. I od Historji się odżegnują historją literatury.

*

Więc Wyspiański wierzył, że jakiś duch zaszedł na scenę krakowską i tam spotkał samego siebie? Nie potrzebował „wierzyć", skoro sam był tym duchem. Uosabiając to samo, co Mickiewicz, dopełniając go (jak dopełniał całą Tradycję), zidentyfikował się już z Mickiewiczem w Legionie [6]) i tam poprzez jego życie i dzieło ujął tę, którą od czasów Daniela wiedział, że mu ująć znaczono — całą historyczną prawdę. Zidentyfikował się z Przeznaczeniem i rysy mu dał Mickiewicza. I teraz, gdy ten, którego się w sobie wyrzekł, wtedy przed relikwją świętego Słowian (patrona — teraz, gdy się w nim nie krzyżowej ofiary, ale żądzy życia zbudził Mickiewicz i w półśnie czy na jawie, życie budować zaczyna — spotyka tamtego siebie, spotyka Przeznaczenie. „A czy wiesz-ty, artystko, że artyzm jest maska? W czyjem ręku Prospera tajemnicza laska, ten jest władcą, — na *Scenie...*" Jak tyle innych postaci tego teatru, tak Mickiewicz Legionu, tak Konrad i Genjusz, są... czem są w tym teatrze, ale są przedewszystkiem *maskami autora.*

Wyzwolić się nie można inaczej, jak spełniając Przeznaczenie. Nie można się na Scenie wyzwolić z praw sceny. Konrad co inne mówi a co inne spełnia. „Uderza słowy" w Genjusza, strąca w grób róg złoty (zapomniał nawet, jaki rozkaz wydał maszynistom). A tamte maski się cieszą i odbronzowują Mickiewicza.

(C. d. n.) *Adam Ł. Cybulski.*

---

[1]) Widmem równie ogólnikowo nazywała się ta postać w pierwotnym rękopisie.

[2]) Że nawet „zaawansowane" sfery literacko artystyczne tej opinji nie podzielały, świadczy przypisek redakcji, która zaznacza, że nie ze wszystkiem się solidaryzuje z „oryginalnymi poglądami utalentowanego artysty" („Życie", Nr. 2 z 2 października 1897). Gdybyż to pouczyć mogło badaczy, jak są śmieszni pisząc o wpływie na Wyspiańskiego tego, co w „Życiu" lub gdzieindziej pisało się o Mickiewiczu, o wpływie na tę myśl kogokolwiek z współczesnych! „Ja mam swój sąd własny. A zdobyć go, było mi bardzo ciężko. I to jest cała moja siła". Ale interesowało go wszystko — i jak w Weselu, całą ich prawdę dobywając czy nicość, zużytkował „myśli" L. Rydla czy W. Tetmajera, tak i opinje p. p. Górskich, Lutosławskich czy innych wejść mogły i weszły, w skład Wyzwolenia — w rozmowach z maskami.

[3]) Nos i Rachela, w przeciwieństwie do innych „osób" Wesela, nie są portretami. Żywe modele urosły tu w syntezy. Panna Singerówna stała się uosobieniem literackiego snobizmu, który wtedy właśnie entuzjazmował się Przybyszewskim. On sam i kilku komparsów dostarczyli materjału do personifikacji „przybyszewszczyzny" i tego wogóle pseudoartyzmu, który wieść mógł tylko do cynizmu i — via „Czas" i Zielony Balonik — tam zawiódł, gdzie się jest dzisiaj. Wyspiański talentu Przybyszewskiego nie kwestjonował, ale nie mógł nie dostrzegać nicości — „pustki w duszy wiecznej" — którą kryła ta sztuka. „Naturę" zużytkował dyskretnie a nazwiskiem „Nos" i cytatem z K. Tetmajera wprowadził umyślną konfuzję. Ale kult Szopena i alkohol pozostały i od pierwszej chwili — taka też zawsze była tradycja — nie pozostawiały wątpliwości, co do pierwowzoru. Pierwowzór zareagował nie „Synami ziemi" (pewne rysy Wyspiańskiego ma tam o ile pamiętam Winiarski), ale jako „biegunkę słów" określając Wesele i jeszcze na krótko przed zgonem pisać miał o pogardzie autora Wesela dla współczesności i jego „dzikiem szyderstwie". Ale respekt dla niego i poczucie dystansu, który ich dzielił, zachował do końca.

[4]) Profesor dostarczył do Samotnika nie więcej od tego, co z kardynała Puzyny weszło w Prymasa. Tam purpura i słynne „na kolana", tu maska myśliciela i „czterdzieści cztery". Tyle, co dać mogli każdy kardynał i każdy pseudomesjanista. Nie wiadomo także, żeby w r. 1902 „mistrz" Wincenty jakąś przepaść, która się dopiero miała otworzyć, widział i chciał przed nią ostrzegać. O wiele więcej jest w Samotniku z samego Wyspiańskiego — z autokarykatury. Jest kopnięcie pewnych rzeczy narzucanych przez drugich, ale które także mogły narzucać się same — zrzucenie jakby ze siebie jakiejś larwy własnej, podobnie jak Hamlet z Tragicznej Historji precz odrzuca tamtego Hamleta ze starego teatru — i zwie go Laertesem. Ale przedewszystkiem, w tej polifonji na temat „Imię", którą są te sceny — jest to odrazu to samo sceptyczne ustosunkowanie się do imienia tamtego („*ten wasz* czterdziesty czwarty"), co w pierwotnym później skreślonym dośpiewie dramatu. Imię „Konrad" padnie zaraz w scenie następnej, ale w miejsce Konrada kto inny się zjawi... Jest odrazu w tej scenie z Samotnikiem — a było już podobnie we finale Lelewela — jakby sprowadzenie do ich właściwego znaczenia, słów o Mężu z widzenia księdza Piotra, na którem jak Legion oparte jest Wyzwolenie. I jest to samo, co w całym dramacie, zawieszenie między Niebem a Piekłem; to samo, co w tym całym teatrze, postawione pytanie.

[5]) Porówn. w sc. IX-ej Legionu oraz w Weselu i Wyzwoleniu. motyw: świergotu ptaków, świtu i t. d., o wyraźnym charakterze hallucynacji, ukazującej — tę samą chwilę. Tę chwilę głosi Rapsod: „to będzie, to będzie wczas rano, *zanim ptacy zaświergocą* swój świt". Na tę chwilę — „nim na wrzosy padnie rosa, *zanim ptacy zaświergocą...*" — wracać każe Gospodarz Jaśkowi. I o niej to („jakby przypomnieć chciał rzecz zdawna już jemu znaną") mówi Konrad, gdy zapowiada, że mu „tam kędyś trzeba dojść i wniść..." „nim zwiędnie kwiatu świeży liść, *zanim ptacy zaświergocą* swój świt nad śmiertelną mogiłą, nim pojmie ich martwota" i t. d. Motyw podkreśla identyczność akcji Wesela i Wyzwolenia i tę akcję sytuuje pomiędzy finałami IX-ej a X-ej sceny Legionu.

[6]) Porówn. uwagi w n-rach 23, 24 i 25 „Zetu".

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

SERGIEJ JESIENIN

Sorokovst

A. Marienhoffowi.

I.
Huczy na zgubę donośny róg!
jakież życie nam się wyznaczy
zabłąkanym oddawna wśród dróg?

Hej, amatorzy zapchlonych słów,
czy nie chcecie teraz possać u klaczy?

Więc słuchajcie, radzi nie radzi:
słodkich słówek mamy już dość!
Jak to dobrze gdy wstanie zmierzch blady
i obwisłe zakrwawi wam zady
zórz czerwonych chłoszcząca złość.

Wkrótce wapnem obieli przymrozek
te pastwiska i dachy chat.
Nigdzie nam się nie ukryć od grozy
ni przed wrogiem uciec we świat.

Już żelazne wydyma się brzucho,
chciwą paszczę rozdziawia wśród strzech.
Stary młyn nastawił swe ucho,
umęczony wyostrza węch.
Słychać krótki, żałosny ryk,
tam gdzie słoma w oborze chrzęści.
To sapiący wśród jałówek byk
poczuł nagle idące nieszczęście.
II
Czyż nie dlatego naszym snom
harmonji wtór żałosny śpiewa:
„Ta-la-la, ti-li-li-gom"
za białem oknem się rozlewa.
Żółtej jesieni wiatr wyziębły,
łuszcząc powierzchnię sinej wody,
jak z koni liście z klonów zgrzebłem
zgarnia w objęcia niepogody.
Idzie już, idzie straszny zwiastun,
potężną stopą łamie drzewa
i rozpaczliwa pieśń wyrasta —
— piszczących żab słomiany śpiewak.
O, elektryczny nowy świat.
Kominów czarnych nigdzie nie brak.
Oto, drewniane ciała chat
groźnie stalowa trzęsie febra.

III
Czyście widzieli
jak w stepowych mgłach,
błyskając źrenicą kocią
przebiega sapiący strach,
na łapach stalowych pociąg?
A za nim,
przez zarosły step,
jakby chęcią wyścigu zapłonął
galopuje wesoło, wznosząc wgórę łeb,
gniady źrebak z grzywą rozpuszczoną.

No i gdzież on tak pędzi przez błoń,
jakby gonić mknącego chciał węża,
czyż on nie wie, że stalowy ten koń
wszędzie żywe rumaki zwycięża?
Czyż on wie, że więcej już nam się nie zdarzy
i nie wróci się pora ta snać,
gdy za konia dwie piękne dziewczyny tatarzyn
gotów zawsze w zamianę był dać.

Tamte czasy zła dola pomieszała, przetrzęsła.
Inny los nowe ceny nam wniósł
i za pudów tysiące końskiej skóry i mięsa
dziś kupują stalowy ten wóz.
IV
Gościu zły, ach, bodajby cię czart!
w naszej pieśni twój rytm nie zadudni.
Tylko tyle i jesteś ty wart,
by jak wiadro utopić cię w studni.
Im to dobrze zapatrzeć się w dal —
tej rozpaczy jesiennej nie czują.
Tylko ja, tylko ja, niby psalm
nad ojczyzną śpiewam alleluja.
I dlatego wśród wrześniowych słot,
kiedy wicher zawodzi i ziębi,
rozwalone głowami o płot
zakrwawiły się krzewy jarzębin.
I dlatego tęsknotą złą
tak zawodzi harmonja cichutka
a oborą cuchnący chłop
w dzień i w nocy zapija się wódką...

Spolszczył Józef Łobodowski.

JAROSŁAW SEIFERT

Morze

Kiedy tęsknimy za dalą,
mówimy sobie:
fale — morze — fale — morze,
Miłość swą wyznajemy w różowym liście,
a potem dziewcząt włosy całując miękkie jedwabiście
mówimy sobie:
włosów falo — włosów falo.

Dziewczęta się kąpały w morzu przedpołudniem w niedzielę.
Wody i włosy ich w jedną się falę łączą.
Marynarz na gnieździe bocianiem
zacznie śpiewać inaczej, weselej.

Fala — za falą — faluje — falują
i na wybrzeżach się kończą.

Spolszczył H. Zasławski.

MICHAŁ KUŹMIN

Miłość ziemska

(Fragmenty z powieści „Skrzydła")

Ile tu na moczarach niezapominajek — wykrzykiwała co chwila Marja, podczas gdy jechali wzdłuż bagnistej łączki pokrytej zupełnie kwiatuszkami lazurowemi i wysoką trawą wodną, na której kołysały się ważki. Lśniące ich skrzydła i zielonkawe tułowie wibrowały ledwo dostrzegalnie. Wózek Janka i Marji został daleko w tyle za bryczką, na której jechali matka Arina z Saszą. Marja schodziła często i szła dróżką przez moczar pod lasem, to znów wsiadała na wózek, albo zbierała kwiaty. Nuciła sobie coś tam, mówiła do Janka przez cały czas jak do samej siebie. Rzecby można upiła się lasem, słońcem, niebem błękitnem i błękitnemi kwiatkami. Janek z pobłażliwem zlekka współczuciem patrzył na rozjaśnioną i odmłodniałą, jakgdyby dziewczęcą twarz tej trzydziestoletniej kobiety.

— W Moskwie mieliśmy piękny sad, mieszkaliśmy na Zamoskworzeczu. Bez tam rósł i jabłonki, a w kącie, pod krzakiem czarnych porzeczek, było źródło. Na lato nie wyjeżdżaliśmy, więc nieraz dzień cały spędzałam w sadzie. Konfitury nawet w sadzie gotowałam... Lubię, panie Jasiu chodzić boso po ziemi rozpalonej, albo kąpać się w rzeczułce. Przez wodę widzi się ciało własne; przebiegają po niem złote odblaski fali. A jak się zanurzyć, a potem oczy otworzyć, to dokoła zielono, i widać jak rybki się snują. A gdy się potem na piasku gorącym położyć, aby wyschnąć, to wietrzyk tak przewiewa i tak dobrze! I lepiej nawet, gdy leżę sama, bez towarzyszek. Kłamstwem, co starzy mówią, że ciało — grzech, kwiaty i piękno — grzech, kąpać się — grzech. Czyż nie Bóg stworzył to wszystko: wodę i drzewa i ciało? Grzech tylko woli Bożej się sprzeciwiać: jeśli ktoś naprzykład ma jakieś przeznaczenie, rwie się do czego, a nie pozwolą mu — to grzech! A jak śpieszyć się trzeba, panie Jasiu — i wypowiedzieć trudno! Jak dobra gospodyni szykuje zawczasu kapustę i ogórki, wiedząc, że potem trudno będzie o nie, tak i pan, panie Jasiu, powinien i napatrzeć się i nakochać i pełną piersią naoddychać, póki czas. Życie nasze nie jest przecie długie. A młodość — jeszcze krótsza. Ta minuta, która teraz mija, nigdy nie wróci. Zawszeby o tem pamiętać należało. We dwójkę słodziej byłoby niż niemowlęciu, które ledwo co oczy otwarło i już umiera.

Z dali dobiegały głosy matki Ariny i Saszy; za nimi tłukła się po okrąglakowej drodze kałamaszka Jurka Parfena.

Muchy brzęczały, woń szła od traw, moczaru i kwiatów. Dzień był upalny, więc Marja w czarnej sukni i białej, osuniętej z głowy chuście siedziała lekko przygarbiona obok Janka na wózku. Pobladła ze zmęczenia i gorąca. Kwiaty zerwane rozkładała, a ciemne jej oczy rzucały blask.

— Czy sama do siebie mówię, snując swe myśli, czy do pana mówię, panie Janku — wszystko jedno, bo duszę pan ma dziecięcą.

Za zakrętem wyłoniła się rozległa polana, a na niej grupa domostw, zwróconych wrotami ku sobie. Większość ich przypominała stodoły bez okien, lub z oknami tylko na poddaszu. Drogi nie było widać. Budynki stały gromadnie, poszarzałe ze starości. Ludzi nie było. Wzbijającej kurz bryczce matki Ariny i Saszy wybiegły na spotkanie tylko naszczekiwania psów z pustelni.

Wewnątrz widać było przez okna ikony, czerwonawe płomyki wiecznych lamp i świeczek, książki na oknach i stołach, gołą ławę z polanem zamiast wezgłowia. Starzec Leoncjusz mówił przeciągając, z oczyma ni z tego ni z owego wesołemi a utkwionemi w Janka.

— Mocno, synku trzymaj się wiary prawdziwej. Ona wszystkie grzechy zmywa i ku domom jasności wiecznej prowadzi. A światłość wiekuistą Pana naszego, Jezusa Chrystusa nad wszystko ukochać trzeba. Cóż bo jest wieczność i nieśmiertelność, jeśli nie raj przejasny, zbawienie dusz? Kwiatem się zachwycisz — zwiędnie nazajutrz, pokochasz człowieka — umrze nazajutrz; zapadną się, zagasną oczy jasne, pożółkną rumiane lica, włosów i zębów się pozbędzie i cały się stanie łupem robactwa. Trupami chodzącemi — oto czem są ludzie na świecie.

— Będzie lepiej. Pozwolą cerkwie budować, nabożeństwa odprawiać — Janek starał się odciągnąć starca od tego tematu.

— Nie dąż do tego, co łatwe. Do tego się garnij co trudne. Łatwość, swoboda i bogactwo gubią narody a według wiary naszej tylko męka sroga zbawić może. Chytry jest wróg człowieczy i podstępne są bezeceństwa jego, więc wszelką radość badać trzeba, z jakiego źródła płynie.

— Skądże taka srogość w tym starcu — rzekł Janek wychodząc z pasieki.

— A zresztą, czy to wina ludzi, że umierają? — przytakiwała mu Marja — Jabym jeszcze bardziej pokochała to, czemu jutro zagładę sądzono.

— Kochać wszystko można, byle niczemu jednemu serca nie oddać, bo zje człowieka — zauważył milczący dotychczas Sasza.

— Ot, filozof się znalazł — pogardliwie rzuciła ciotka.

— A cóż to, nie mam głowy, czy co?

— Jakże on mógł nie poznać, że pan prawosławny! A może przewidział sobolik, że pan na prawdziwą wiarę się nawróci? — frasowała się matka Arina, patrząc na Janka czule.

W izbie oświetlonej jedynie wieczną lampką panował niemal zupełny mrok. Za oknem widniało ciemno - czerwone, żółkniejące u góry niebo zachodu, a na niem, za polaną, czarny bór. Sasza Sorokin, ciemny na tle czerwonego okna wieczornego mówił dalej:

— Trudno to pogodzić. Jeden z naszych mówił: ‚jakże można wróciwszy z teatru modlić się do Chrystusa, przecież lepiej chyba modlić się po morderstwie". I tak jest, że zabić, ukraść, cudzołożyć można, wyznając jakąkolwiek religję, a rozumieć „Fausta" i zarazem przesuwać ziarna różańca — niepodobieństwo. Zakrawałoby to na Bóg wie co, na drażnienie djabła. Ale przecie jeśli człowiek nie grzeszy i przykazania zachowuje, a w potrzebę ich i zbawienność nie wierzy, to chyba jeszcze gorzej postępuje, niż gdyby źle czynił wierząc. I jak tu wierzyć, jeśli się niema wiary? Jak nie wiedzieć tego, co się wie, nie pamiętać tego, co się pamięta? Nie można wyrokować: to mądre, tego się będę trzymał, a tamto — głupstwo nie mające żadnego znaczenia. Któż ci dał moc wyrokowania? Póki kościół praw nie zmienia, wszystkie zachowywać trzeba, zdala się trzymając od świeckich sztuk i lekarzy innowierców, a posty wszystkie zachowując. Starodawnej wiary mogą się trzymać tylko starcy w lasach żyjący, a ja pocóż mam być uważany za takiego, jakim nie jestem i być tem, czem być nie myślę? Jakże mógłbym przypuścić, że tylko nasza gromadka zbawiona będzie, a cały świat w grzechu zatonie. I, nie myśląc tak, czy mogę się uważać za starowiera? Podobnie i każdą inną wiarę i życie, wszystko obce przyjąć ciężko i wstyd. Tak rozumiejąc wszystko, w żadnej wierze prawowiernym być nie można.

Głos Saszy przycichł i za chwilę rozległ się znowu, bo Janek, leżąc na łóżku nic nie odpowiedział z ciemności.

— Wy, obcy, być może, lepiej widzicie nasze życie, niż my je widzieć i rozumieć możemy. Nasze życie, wiara, obrzędy, nawet ludzie nasi dla was mogą być zrozumiali, a wy dla nich — nie. Tylko cząstka z was może być rozumiana przez ojczulka, albo starców naszych. I zawsze bylibyście obcymi, intruzami. Na to niema rady. Ja sam Jasiu, choć tak cię kocham i szanuję, czuję, że jest w tobie coś, co mnie gnębi i onieśmiela. Ojcowie nasi i pradziadowie odmiennie żyli i myśleli, inne widywali rzeczy, więc trudno nam jeszcze zrównać się z wami. Różnice w tem i owem ciągle wychodzą na jaw, a sama dobra wola niewiele tu pomóc może.

Znów umilkł głos Saszy i długi czas słychać było tylko bardzo daleki śpiew z otwartych drzwi kaplicy.

— A co u Marji?

— Ach, co tam Marja!

— Jak ona myśli, jak żyje?

— Kto ją tam wie. Bogobojna. Po mężu płacze.

— Czy dawno zmarł jej mąż?

— O, już dawno, lat temu z osiem. Małem dzieckiem jeszcze byłem wtedy.

— Podobała mi się.

— Ech, wielkiego zrozumienia różnych rzeczy to chyba niema wiele — rzekł Sasza zamykając okno.

Spolszczył *J. Surmacz.*

PAWEŁ TYCZYNA

Mesjasz

W przyszłość patrzę:
(o, chwilo straszliwa!) —
przyjdzie, przyjdzie, załka z rozpaczą
i zaćmi słońca grzywę.
Ktoś słowo pijane ciśnie:
— Rozstrzelać! Na chodniku!
Jak pożar księżyc zabłyśnie
na młodziku.
Zamiast deszczu, zamiast rosy —
Kamienie z nieba...
I czyjeś głosy:
— Nie trzeba, nie trzeba!
Kaleka śpiesząc dziecko w tłumie zgniecie.
I krzyk się rozniesie po świecie:
— Mesjasz! Przyszedł Syn Boży!
— Hosanna! Witajcie Pana!
I krew rozlana
tę śmiertelną ekstazę w marzenie przetworzy.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski.

VITESLAV NEZVAL

Kamieniarze

Z miasteczka, drogą, w południa skwarze
jadą, jadą kamieniarze.
Za tydzień gotów będzie marjański gościniec.
trzeba go wykończyć — to go nie ominie.

Marja Panna przed kościołem
błyśnie jutrzni jasnem czołem,
a domy w stado owieczek zamienione
głuchy staruszek Donat poprowadzi z wieżycy dzwonem.

Chłopcy godni, kamieniarze
wszystko z koszów do kobiałek wysypują w darze
i tańcują w karczmie, gdzie harmonja gra.
Karczmarka im na odjezdne pocałunek da.

Spolszczył Józef Czechowicz.

FRANTISZEK HALAS

Morze

Ty, co bez liczby twory mnożysz
i barw bez liku masz,
tajemnic swoich, wielkie morze,
ukaż mi twarz.

Tęsknotą dni słonecznych chcę sobie wyprosić
okruchy tego, co ty wiesz:
zwierciadło pustki mej niechaj orosi
szumów twych deszcz.

Ty, co się burzysz w wiecznym niepokoju,
błękitu zamknięte ramą,
— ogromów twoich dusza ma się boi —
nie, lepiej nie mów, co ma być zmilczane.

Z czeskiego spolszczył
Antoni Madej.

Praca i akt twórczy u Brzozowskiego

Geneza filozofji pracy

Dotychczasowe rozważania przekonały nas, że u Brzozowskiego pojęcie istnienia pokrywa się z pojęciem czynności, działalności twórczej, będącej jednocześnie samostwarzaniem się Ja (= proces autogeniczny) i samozakładaniem się Nie-Ja (= proces autotetyczny). Działalność ta istot ludzkich odbywa się zarówno w środowisku kosmicznem (w przyrodzie), jak i w środowisku autogenicznem (w historji). Przyroda to warunki fizyczne, już dane tym istotom, a raczej odziedziczone przez nie; natomiast żywiołem historji jest dążenie do wyzwolenia się z tych warunków, do przezwyciężenia ich przez czystą samorzutność stwórczą, ku której, jako ku swojej hypostazie, zmierza wszelka czynność ludzka.

Wiemy, że Brzozowski zwalczał wszelkie postacie filozofji, traktującej świat jako coś gotowego, istniejącego. Ideałem jego było wysublimowanie pierwiastka kreacjonizmu absolutnego, na którym utrzymuje się jako na podporze niewarunkowej sama istota rzeczywistości. W dążności ku temu ideałowi przeszkadzały mu nałogi myśli spekulatywnej, zarówno w dotychczasowej teorji poznania, jak i w dotychczasowej historjozofji. Obydwie zajmowały wciąż punkt widzenia teoretyczny, pod czas gdy jemu szło o prawdziwy przewrót w myśleniu, o przejście do tego trybu rozumowania, który znajdujemy u Wrońskiego, jako filozofję technji rzeczywistości. Można rzec, że Brzozowskiemu nie wystarczała już metoda transcendentalna; szukał on wyjścia poza chrematyzm, czyli poza jakiekolwiek ustosunkowania wiedzy z bytem, a ten nieprzeparty pęd ku achrematyczności był wyraźnem antycypowaniem metody genetycznej.

Wysiłek Brzozowskiego ku aktowi czystej transcendencji, na której chciał on oprzeć nowoczesną wiedzę filozoficzną, możnaby odtworzyć w sposób następujący:

Skoro istnienie nasze jest tem, co jest nam bezpośrednio dane, a istnienie to pokrywa się z czynnością twórczą, to zadaniem wiedzy jest nietylko zrekonstruować wszystkie postacie czynności *już w nas zastane*, jako zafiksowanie dawniejszych wysiłków istot żyjących (przyroda), nietylko sklasyfikować wszystkie postacie czynności *obecnie przez nas wytwarzane*, jako sposoby wyzwalania się z rzeczywistości fizycznej (historja), ale i sięgnąć po wytłumaczenie tajemnicy samej czynności twórczej, która zrodziła obydwa te rzędy rzeczywistości: niższy i wyższy. Jasnem jest chyba — po tem cośmy dotychczas powiedzieli — że postacie czynności już nam dane to przedmiot starej teorji poznania t. j. nasze władze psychologiczne, od zmysłowości i rozsądku zaczynając, a kończąc na języku i idejach transcendentnych Boga, świata i duszy. Jasnem jest również, że postacie czynności obecnie przez nas wytwarzane, to dla Brzozowskiego potencjalności i zagadnienia historyczne takie, jak filozofja, religja, nauki, sztuki i t. p., wogóle wszystko co da się podciągnąć pod pojęcie kultury. Pierwsze z nich to świat spekulacji kontemplatywnej, rozpatrywany od zewnątrz i rozszczepiony przez myśl zachodnio-europejską na świat myśli i rzeczy (idealny i realny), jak to stwierdza Trentowski, mówiąc o nowej filozofji słowiańskiej, mającej za przedmiot wyższą sferę rzeczywistości, świat czynów. Drugie, to sam ten rozważany przez Trentowskiego świat czynów, kosmos moralny, dzieło istot rozumnych, ustanawiających sobie nowe, doskonalsze sposoby istnienia. Ale motorem tego nowego typu istnienia (= działalności twórczej) jest, jak widzieliśmy, dążność do osiągnięcia wolności absolutnej, myśl nasza zatem nie będzie zaspokojona, dopóki nie schwyta niejako na gorącym uczynku samego, wewnętrznego warunku tej dążności, któryby motywował wszelką czynność wogóle, sam będąc *przez się*, czyli niewarunkowym. Oto jest problemat, o którego rozwiązanie pokusił się Brzozowski w swem studjum: „Prolegomena do filozofji pracy".

Metafizyka czynności

Ani oglądy zmysłowe ani pojęcia umysłowe nie prowadzą nas *poza nas*. Jest to świat fenomenów kantowskich, sfera zjawisk, wyprodukowanych przez nas samych w ramach intuicyj czasu i przestrzeni, oraz kategoryj czystego rozsądku. Analizując je, dowiadujemy się o nich tylko jako o pewnych formach naszych przeżyć; o istocie świata zewnętrznego „pozaludzkiego" nie mogą nam one nic powiedzieć, conajwyżej pozwalają nam o niej wnioskować, bez możności jednakowoż stwierdzenia prawdziwości tych wniosków. Istnieje wszakże sposób wyjścia poza nas w to „pozaludzkie", niepoznawalne; sposobem tym jest czynność celowa i skuteczna, wprowadzająca w naszem Nie-Ja (w środowisku kosmicznem) pewne określone i zamierzone zmiany. Czynność ta — to praca.

Aby zmiany zachodzące w naszym podmiocie (Ja) oddziaływały skutecznie na nasz przedmiot (Nie-Ja), konieczny jest akt koncentracji naszej potencjalności twórczej, t. j. akt woli, a następnie neutralizacja substancjalna myśli (= przyżycie wewnętrzne) z rzeczą (= przeżycie zewnętrzne), zwana czynnością. Istnienie nasze, czyli utrzymywanie się w niepoznawalnem „pozaludzkiem", *w bycie*, możliwe jest tylko dzięki temu, że cała masa woli i (formy jej:) czynności, rzucana jest wciąż przez nas w tę otchłań niewyobrażalnego, którą zwiemy nicością.

Jak jednakowoż należy rozumieć to rzutowanie naszego wysiłku, zapewniającego nam oparcie w bycie? Gdzież jest ta otchłań niewyobrażalnego, którą zapełniamy? Czy wyjście nasze poza nas mamy rozumieć in stricto sensu, jako skierowanie aktu naszej woli na zewnątrz? I na czem gruntuje się sam ten ustawiczny, trwały wysiłek woli utrzymujący nas przy życiu?

Otóż, idzie tu przecież o nasz byt, o nasze własne *istnienie przez się*. Ta otchłań niewyobrażalnego, to nasze własne, przyszłe życie. Zapewniamy sobie przyszłe utrzymywanie się w bycie przez to, że w chwili obecnej zużywamy swoje życie w pewien określony sposób, a zużywamy nieodwracalnie, poprzez konkretne następstwo w czasie. Chwila, którą zużytkowaliśmy tak a nie inaczej, nie powróci już nigdy. Stała się ona świadomie użytym środkiem do celu, *którym jesteśmy my sami*.

W ten sposób określamy naszą rzeczywistość, nadając jej postać taką a nie inną — z pośród niezliczoności możliwych form istnienia. Określamy ją celowo i świadomie, a więc przemieniamy ją z potencjalnej w aktualną, warunkując ją w pewien sposób pod kątem celowości własnej, t. j. poto, by stworzyć sobie w przyszłości takie a nie inne warunki bytu. Idzie nam przytem o byt, czyli o bezwładną, niezmienną *stałość*, na którą możemy liczyć, jako punkt oparcia dla dźwigni dalszego działania. Zapewniamy ją sobie przez coś wręcz odmiennego od niej, bo przez samorzutny akt naszej wiedzy, to też wysiłek nasz idzie w tym kierunku, by ten akt samorzutny („gest wewnętrzny" — jak powiada Brzozowski) wywołał zamierzone skutki, ostał się w bycie. Nie wszystkie czynności naszej wiedzy mają tę właściwość; niektóre są grą wyobraźni, fałszywem obliczeniem, błędem, i roztrwaniają się bez rezultatów. To też tylko akty wiedzy współmierne z bytem wolno nam nazwać pracą.

Byłaby więc praca samozakładaniem się (autotezją) naszej wiedzy w naszym bycie (Ja w Nie-Ja). Punktem wyjścia tej akcji byłaby zawsze ta forma naszej rzeczywistości, która jest nam dana w momencie rozpoczęcia pracy, punktem dojścia nowa forma tej rzeczywistości, pożądana przez nas, jako wynik naszej czynności. Od tego co *jest* w nas, przechodzimy do tego co w nas *być powinno*, czyli — dajmy na to — od formy N^1 do formy N^2. Rzecz oczywista, że po dokonaniu procesu, N^2 staje się zkoleji tem, co jest, a N^3 tem co być powinno; i tak w nieskończoność.

To co inspiruje naszą wolę do ustawicznego powtarzania tego procesu, możnaby nazwać *nienasyceniem form* w naszej rzeczywistości. Nienasycenie to powstawałoby jednak w nas jako wyraz braku rzeczywistości absolutnej, do której samostworzenia (autogenji) w sferze achrematycznej dążymy poprzez niezliczone formy rzeczywistości względnej t. j. poprzez samozakładanie się (autotezję) w sferze chrematycznej.

Czy jednak sam ten akt samorzutności α, przeobrażający N^1 w N^2 da się przyswoić myślowo, czy jest inteligibilny? Brzozowski odpowiada na to przecząco. Myśl nasza zdolna jest ująć tylko kolejne stany N^1 i N^2, określając je jako przyczynę i skutek. Tu odsłania nam się niewystarczalność *teorji* dla zrozumienia istoty rzeczywistości, a zarazem konieczność stworzenia — na użytek filozofji — nowego trybu dociekania, którego Brzozowski nie nazywa, lecz który odpowiada Wrońskiego *technji*. Związek przyczynowy N^1 i N^2 to podstawa teoretycznego myślenia, logizm, wywołujący złudzenie, że można wysnuć w sposób konieczny wszystkie formy rzeczywistości jedne z drugich, t. zn. że N^1 stanowi całkowity, wystarczający dla myśli poznawczej warunek N^2, zaś $N^1 + N^2$ stanowi wystarczający warunek N^3 i t. d. Filozofja spekulatywna przeocza tu obecność *wolności*, wdanie się wynalazczego, niewarunkowego aktu stwórczego, który jest prawdziwem źródłem przemiany N^1 w N^2.

Logizm i hyperlogizm

„Musimy *coś określonego* zrobić ze sobą, aby I-sza forma naszego życia stała się II-gą.

„Tę bezwzględną określoność znajdujemy omackiem.

„Dopóki nie znaleźliśmy jej, trwa I-sza forma życia... lub też powstaje jakakolwiek inna, ale nie II-ga forma życia, t. j. zmiany w przedmiocie nie są temi, jakiemiśmy je mieć chcieli.

„Musimy swemu życiu nadać pewien specyficzny α kierunek, aby przedmiot został tem, czem go mieć chcieliśmy, aby na miejsce I-szej formy życia wystąpiła ta właśnie II-ga.

„Żadne inne określenie naszego życia β, γ, etc. nie daje tego wyniku, tylko wywołuje inne niż II-ga, więc n. p. III, IV, V i t. p. formy życia, albo pozostawia I-szą bez zmiany. O tem, jakiem jest owo α, dowiadujemy się przez dokonanie. Nie możemy go określić inaczej. Żadna pojęciowa, intelektualna analiza II-giej formy nie wywoła jej, póki właśnie α dokonane nie zostanie.

„Pojawienie się II-giej formy nie zależy więc od naszej świadomej woli, nie wypływa z logicznej analizy; musi nastąpić domieszka irracjonalna a określona α, aby forma II-ga się pojawiła.

„Świadoma nasza wola trzyma się na powierzchni życia mocą nie własną, lecz tego właśnie nie dającego się wydedukować, nielogicznego, niemyślowego — a przecież jednoznacznego określonego α pierwiastka.

„I I i II są to stany podległe logicznym opracowywaniom: droga jednak pomiędzy niemi jest pozalogiczna, nie dająca się przepisać, a pomimo to określona, a więc twórcza.

„Mamy stworzyć akt„ gest α, aby z I stało się II...

„Jest tu skok poza intelekt, o którym intelekt, wykonawszy go i przyswoiwszy sobie jego rezultaty, chce zapomnieć".

Zacytowałem tak obszerny ustęp z „Prolegomenów filozofji pracy" poto, by ukazać własny tok myśli Brzozowskiego, który wykrywa tu znaną badaczom filozofji Wrońskiego heterogeniczność dwu najpierwotniejszych elementów rzeczywistości absolutnej, logizmu i hyperlogizmu, które Wroński nazywa także: rozumowością określającą i mocowładnością stwórczą. Uchwyciwszy w hypostazie czynności ludzkiej ten ponadlogiczny „gest wewnętrzny", dociera Brzozowski bezpośrednio do wrót zagadki czystej samorzutności stwórczej, którą rozwiązuje dopiero Wroński, odsłaniając *autotelję aktu* [1]) zachodzącą w samej istocie rozumu absolutnego.

Niezwykłe trudności inteligibilizacji (recepcji umysłowej) samej istoty transcendentnej owego spontanicznego samookreślnika α, sprawia, że Brzozowski popełnia błąd ontologiczny w wycechowaniu tego pierwiastka. Jego ponadlogiczność bierze on za irracjonalność, choć akt ten jest właśnie najintymniejszym zjawem rozumu stwórczego, elementu - wiedzy. Spowodował to brak kryterjum absolutnego, jakie my — szczęśliwsi odeń — mamy dziś w doktrynie Wrońskiego, a zwłaszcza w jej części achrematycznej.

Gdy wmyślimy się intenzywnie w treść metafizyczną tego procesu twórczego, który chce zracjonalizować Brzozowski, widzimy, że logizm, czyli związek przyczynowy N^1 z N^2 jest *ustaleniem* się naszej rzeczywistości wewnętrznej, jej określeniem w dwu formach pojętliwych, t. j. stawiających konkretny opór aktom wiedzy; tymczasem ów czynnik α jest *samowytworzeniem* się tej rzeczywistości, nieuchwytnem, lotnem przejściem od formy I-szej do II-giej. Znaczy to, że logizm posiada cechę stałości, *bezwładu*, właściwą bytowi, zaś hyperlogizm cechę przemienności, *samorzutności*, właściwą wiedzy. Bez stanów I, II, III itd. „podległych logicznym opracowywaniom" nie byłoby w naszem życiu ogniw BYTU, a więc właśnie tego niewyobrażalnego „pozaludzkiego", o które nam chodzi, jako o istnienie przez się. Natomiast α jest naszą własną siłą określającą ,siłą samowiedną, wynalazczą i stwórczą, wiecznem Ja, aktualizującem swą mocowładność w wiecznem kreowaniu swego Nie-Ja, jako podstawy w bycie; wiadomo zaś, że *określność* jest przymiotem najistotniejszym WIEDZY.

Możebność wywoływania w sobie wciąż na nowo owego wolnego, samorzutnego aktu α, jest naszą *potencjalnością Ja*, potęgą samoczynną podmiotu; zaś możebność samozakładania się tego aktu zapomocą dwu jego ogniw, stanu N^1 i stanu N^2 (punktu wyjścia i punktu dojścia), jest naszą *potencjalnością Nie-Ja*.

Stosunek stanu N^1 (terazniejszego) do stanu N^2 (przyszłego) jest taki, że pierwszy zawisa niejako nad drugim, jako nad swoją hypostazą i całym ciężarem swej dążności (= niedokończoności) pragnie go ziścić. Ale przejście od stanu podstawowego do stanu końcowego jest niemożliwe bez α, Toteż o ile zagadnienie autotezji bytu — przez wdanie się α — jest łatwo zrozumiałe, o tyle trudniejszem jest wytłumaczenie autogenji samegoż α, czyli naszej wiedzy.

Aby to zinteligibilizować trzeba więc uświadomić sobie, że: 1) jak z punktu widzenia logizmu stosunek N^1 do N^2 jest stosunkiem przyczyny do skutku, tak z punktu widzenia hyperlogizmu jest on stosunkiem *środka do celu;* 2) twórczy gest umożliwiający przejście od jednej formy do drugiej jest samorzutnem wynalezieniem sposobu, *narzędzia*, jedynego środka z pośród wielu możliwych, jaki może spowodować cel zamierzony.

[*Uwaga:* O ile istotność (essencjalność) jest cechą bytu, o tyle sposobowość (narzędność)) jest cechą charakterystyczną wiedzy].

Aby rozwiązać powyższy problemat, trzeba zatem spojrzeć nań okiem *technji*, która da się jedynie zastosować przy rozważaniach hyperlogizmu. Stąd filozofja technji Hoene - Wrońskiego. Konieczność stworzenia tego nowego rzędu wiedzy przeczuwał Brzozowski; dowodzą tego jego głębokie myśli o roli techniki w życiu nowoczesnem, o *instrumentalności* wiedzy, która jest nie czem innem jak twórczą zdolnością wynajdywania coraz nowych, nieistniejących dotychczas we wszechświecie, sposobów działalności. Mówi on niejednokrotnie, że wszechświat w swej istocie samostwórczej jest tylko hierarchją absolutną nieskończonych sposobów działalności.

Filzofja aktu twórczego

Filozofja pracy jest właściwie u Brzozowskiego filozofją aktu twórczego ,doprowadza go bowiem bezwiednie i w postaci niesprecyzowanej do wysublimowania dwu podstawowych trybów rzeczywistości absolutnej, t. j. autotezji i autogenji, których Wroński użył do pobudowy dwu naczelnych działów swego Prawa Stworzenia: teorji i technji. Twórczość, (pojęta kosmogonicznie i historycznie), jako samostwarzanie się Ja i samozakładanie Nie-Ja w istocie rozumnej, rozbija się u Brzozowskiego na dwa pierwiastki, *treść* i *formę*, które możnaby wycechować za Wrońskim, jako stwarzanie i wytwarzanie, stanowiące w jego Metodologji treść i formę rozumu absolutnego. *Stwarzaniem* byłaby mianowicie (w ujęciu tego problemu przez Brzozowskiego)owa autogenja aktu, samorzutny, wolny czyn wynalazczy α, w którym wiedza nasza używa siebie pod postacią narzędzia, jedynie zdolnego zamienić I-szą formę życia w II-gą formę życia. *Wytwarzaniem* byłaby natomiast efektywność tego aktu w „pozaludzkiem", t. j. jego założenie się i ustalenie w bycie. Dopiero to drugie jest *pracą*, trzeba więc rozróżnić z całym naciskiem achrematyczność czynu twórczego, czyli samorzutność wiedzy *samej w sobie*, oraz chrematyczność pracy, jako *objawu wiedzy w bycie;* rozróżnić tem ostrożniej, że Brzozowski często zaciera te granice i miesza treść twórczości z jej formą, czyniąc z pracy najwyższy kategoremat metafizyczny, zdolny nieomal posłużyć do zbudowania absolutnego systemu wiedzy.

Jednakowoż przyznać trzeba, że Brzozowski w przenikliwości swej sięga po wytłumaczenie aktu twórczego bardziej jeszcze adekwatne. Próbuje mianowicie skonstruować pomiędzy i ponad wiedzą i bytem (t. j. ponadlogicznem α i logicznemi etapami N^1, N^2) czynnik *trzeci*, stanowiący pole i warunek zarazem obydwu tych elementów.

Rozumowanie jego jest następujące:

Czynność twórcza w samej sobie jest naszem potencjalnem Ja. Etapy zakładania się rezultatów tej czynności w bycie, są naszem potencjalnem Nie-Ja. Istnieją więc obok siebie: ciąg nieskończony aktów α i ciąg nieskończony stanów N. Powtarzanie się aktów α (czy to wciąż innych, wynalazczych, dla wywołania nowych rezultatów, czy też tych samych, dla wywołania rezultatów podobnych do poprzednich) wytwarza w podmiocie coraz bardziej rosnący zasób świadomych uzdolnień czynnych. Podobnie wytwarzanie coraz nowych stanów N jest nagromadzaniem się przedmiotowem coraz liczniejszych określeń naszego bytu. Otóż jesteśmy w stanie myśleć o obydwu tych postaciach naszej rzeczywistości, jako o czemś danem, gotowem, już istniejącem (zarówno o podmiocie, jak o przedmiocie). Nasuwa to przypuszczenie, że prawdziwą, najwyższą rzeczywistość, absolutnie już nieprzyswajalną w kategorjach wiedzy„ stanowi coś trzeciego, *wytężenie* stwórcze nadrzędne, które nigdy i niczem niezaspokojone, w istocie swej nieskończone i nie dające się wysłowić, odrzucą jako rezultat swej supra-rzeczywistej działalności *pod siebie i przed siebie* zarówno Ja, jak Nie-Ja. Ma ono potęgę stawania się świadomem i nieświadomem zarazem, podmiotowem i przedmiotowem, ludzkiem i pozaludzkiem, indywidualnem i powszechnem.

Brzozowski dąży tu wyraźnie do nowego już nie transcendentalnego, na wzór Hegla, lecz genetycznego założenia problematu ABSOLUTU. Mojem zdaniem, dążenie to jest źródłem tego działu poglądów filozoficznych Brzozowskiego, który nazwałbym *filozofją życia*. Wydaje mi się, że jest to słabszy punkt w całokształcie jego wytworów spekulatywnych, gdyż owo pojęcie życia jest tu zbyt nieokreślne i zbyt biologicznie spanteizowane, by mogło aspirować do roli niewarunkowego kreacjonizmu absolutnego, do którego Brzozowski tak usilnie chciał dotrzeć. Niewątpliwie na tem zabarwieniu genezyjsko - biologicznem metafizyki życia zaciążył ów prehistoryzm samostwarzania się jaźni, będący bodaj czy nie najdotkliwszem potknięciem się Brzozowskiego. Byt nasz jest bowiem tylko in spe autonomiczny, jako upragniona hypostaza naszej czynności, stanowiąca cel i motor najgłębszy historji. Jesteśmy nietylko potencjalnymi twórcami, ale i *tworami* Boga, uzależnionemi odeń heteronomicznie, dopóki to opatrznościowe, heteronomiczne podtrzymywanie przezeń naszego bytu jest potrzebne. Istoty żywe, poprzedzające nas w hierarchji kosmicznej tworów, po których dziedziczymy naszą *przyrodę* fizyczną, nie wytworzyły jej sobie samorzutnie, przez celowość własną czynności: są to bowiem bio-mechanizmy kreowane przez Boga. Biomechanizmy te, udoskonalone i przeobrażone, są dziś naszemi ciałami przekazanemi nam na drodze ewolucji gatunków i stanowią obcą, a konieczną jeszcze podporę naszego aktualnego bytu. Samostwarzanie się jaźni natomiast, jest procesem nawskroś autonomicznym, arcyludzkim, rozumnym problematem historji, a nie przyrody. Rozszerzenie go na przyrodę sprowadziło myśl Brzozowskiego na manowce, z których zeszedł dopiero w swej filozofji religji, po uznaniu ontologicznem suprarzeczywistości Boga.

Jerzy Braun.

[1]) Autotelja aktu = czynność stwórcza mająca za cel samą siebie, t. j. samostwarzanie się czynności.

O. OLŻYCZ

Żołnierz

Tak mi tu obco na sinawych wzgórzach!
Kohorta przyszła do wsi, aby spocząć w ciszy
zwisających dębiny olbrzymiej konarów.
Kryją się białowłose płochliwe dziewczyny.
O drogi, o doliny Galji, pył jej kurzaw!
Żarty opowiadano w gronie towarzyszów.
Wieczór. Wspomnienie białej, kampańskiej mieściny,
siostry skromnej — i matki — i braciszków gwaru.

Polesie

1.

Duszno wieczorem. Dławią zadymione ściany;
Wyszedłem. Patrzę. Po pas sięga śnieg.
Krwawi się słońce w puszczach. Cienie rozbiegane.
Głos jest głosem olirwnym. Ciemny zmierzch.

Skądś nadchodzi, Wigilja gdzieś stąpa szeroko.
Przyjdzie — gleby odkryją swą radosną ruń.
Stanie i znów nad borem — znowu — jak co roku
gęsi napną w błękicie wielkie mnóstwo strun.

2.

Niebieszczy się sen-trawa na promienistych wzgórzach
i chylą się niebiosa nad szumną sosen sławą.
Ten bór złocisty, szum ten, który powieki zmruża,
uśpieni ludzie, którzy nie znają słowa: prawo.

Tu ziemia tylko pieści, upija, życie rodzi!
Szalony śpiew cietrzewi wlał miłość w każdy sęk!
Daleko — gdzieś — daleko lękliwie lud przechodzi
i burza napotyka oręż w tysiącach rąk.

Ciało moje wysmukłe, jak srebrna wić sokory.
Pierś równomiernie dysze. Krew krzepnie w gęsty miód.
Tak to, póki na stepy, na chyżych fal przestwory
nie rzuci żądza morza, brokatów, i pęd wprzód.

Powrót

Dzień jesieni — jak szata helleńska.
Rusi moja! Rusi złotolita!
A wybiegaj, przypadaj do strzemion —
— książę wrócił. Powrócił i wita!

Zajęczały wrota jak łabędzie.
Odłożono hełmy błyszczące.
Dniem i nocą, jak senne motyle
będę czekał na wiosny słońce...

Spolszczył J. Czechowicz.

SIERGIEJ JESIENIN

Jesień wróży nam...

Jesień wróży nam ptaków głos
nad pustkowia bezdrożem błędnem.
Już na ziemię opada wrzos,
krzew złocisty głowy mej więdnie.

Krzyk daleki przelata przez step,
ratuj, matko, błękitna osino!
Wkrótce księżyc z wyżyny nieb
olśni głowę srebrzyście i sino.

Wkrótce chwyci mnie w kleszcze chłód,
przykrytego gwiazdami i ciszą ,
nie zaśpiewam z młodymi, jak wprzód,
ni pieśń moją starcy usłyszą.

Inny śpiewak przyjdzie do chat,
w innym las zakołuje świście.
O jesieni zawodzi wiatr,
o jesieni szemrzą już liście.

Spolszczył J. Łoboodwski.

Chwistkalia[1]

Sądząc z ogłoszonego w obronie Boya („Wiadomości Lit.") artykułu, prof. L. Chwistek — więcej niż wybitny logista, matematyk i malarz i gorzej niż ignorant w filozofji — gotów jest pełnić ostatnie intelektualne posługi, tem groźniejsze, iż wtargnął do „Pionu" (pisma długo oczekiwanego, po którem wielu wiele się spodziewa). „Niewola duchowa"[2]) jest z całą pewnością obliczona na wywołanie śmiertelnej depresji u czytelników, na czem jednak chyba nie powinno zależeć redakcji tego czasopisma, — depresji wynikłej z intelektualnej nicości. Fakty powyższe skłoniły mnie do ogłoszenia, nie z mej winy spóźnionej recenzji (miała ukazać się w całkiem innem miejscu i czasie), mającej służyć za wyraz czujności — żeby tak powiedzieć — „spekulatywnego obozu" wobec skradających się macek intelektualnego zła. Tyle słów wstępu, tłumaczących wypad ten z Empireum w przeponurą empirję.

* * *

Dwanaście lat temu dokonał Leon Chwistek odkrycia („Wielość rzeczywistości", Kraków 1921 rok), dotyczącego wieloznaczności wyrazu „rzeczywistość". Groteska tej rewelacji polegała na tem, iż nie było człowieka w Polsce, ani gdzieindziej, i to od najdawniejszych czasów, któryby utrzymywał coś przeciwnego. Z tego trywiału, zgoła filologicznego, wyprowadził następnie, najmetodyczniej w świecie, najradykalniejszy pluralizm metafizyczny, głoszący nieistnienie jednej, a natomiast przyjmujący istnienie wielu rzeczywistości (wrażeń, wyobrażeń, rzeczy, fizykalnej). Obecnie[3]) przystąpił pan Chwistek do omówienia zagadnień filozofji w Polsce, jako jednego z elementów kultury[4]). Rzeczy jednak przedstawiają się w ten sposób, iż zasadnicze stanowisko autora wyprowadza go poza wszelką filozofję i poza wszelką kulturę — w sfery absurdu i barbarzyństwa.

Zanim stanowisko to sprezentuję w całej jego monumentalności, oddam głos autorowi: „Przyznajmy, że nic nie udowodniliśmy, bo nic w filozofji udowodnić się nie da" (70 str.). „Jest jasne, że znajdujemy się tu (w filozofji — *dopisek mój)* na terenie, który nic wspólnego nie ma z zagadnieniem prawdy i fałszu". (70 str.). Jak wyszukana musi być teorja, prowadząca do tak paradoksalnych stwierdzeń! Wprost przeciwnie, — jest to odwieczny pogląd wszystkich zjadaczy chleba: system filozoficzny jest zbiorem mniemań poszczególnego filozofa, od osobliwości jego psychiki zależnym; sfera powszechności i bezwzględności jest dlań zamknięta, tym sposobem wymyka się z pod kwalifikacyj prawdy i fałszu. Nikt tylko z pośród tych wulgarnych antyfilozofów nie ogłaszał książek i nie czuł się rewelatorem. Chwistek poczuł się nim poraz drugi: niema i nie może być jednego powszechnego systemu, istnieją tylko systemy indywidualne (druga rewelacja).

Rozprawa intelektualna z autorem jest rzeczą niemożliwą i zbyteczną, niema bowiem dla niego w filozofji dowodów, niema prawdy i fałszu, poglądy te z założenia nie wchodzące w sferę powszechności, pozostają najprywatniejszą własnością Chwistka. (Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż zasadnicze założenie chwistcyzmu, nie pozwala na przejście ze sfery indywidualnych przedstawień inteligencji poszczególnej w sferę pojęć intelektu powszechnego, pod grozą samounicestwienia. Prawo sprzeczności, ostatnia ucieczka Chwistka, pokazuje swe groźne oblicze!).

Zapoznawszy się z Chwistkiem samym w sobie, wyszukajmy dlań szereg historyczny. Idziemy ściśle za autorem.

Stanowisko swoje nazywa Chwistek racjonalizmem krytycznym (ktoby się domyślił); w czasach starożytnych reprezentował je Protagoras, w nowożytnych Dawid Hume, John Stuart Mill i inni. Świetne te nazwiska nie wyczerpują listy poprzedników, należy jeszcze do nich Chrystus (102 str.). Chwistek zastanawiał się głęboko nad nauką Chrystusa i znalazł w niej „systematyczne wznoszenie się do rzeczywistości rzędu 2-go". Stwierdzający ten proces Chwistek należy oczywiście do rzeczywistości rzędu 3-go, ale mniejsza o to. Trzeba bowiem wiedzieć, iż owe rzędy rzeczywistości i związana z niemi hierarchja teoryj, stanowią najwyższy komfort „systemu" Chwistka; cokolwiek bowiem tu słyszymy, słyszymy z wysokości współczesnej logistyki, w lubym wypadku z wysokości teorji typów logicznych.

Poznawszy genealogję chwistcyzmu, nie od rzeczy będzie się dowiedzieć o zażyłości naszego autora z historją filozofji wogóle. O filozofach polskich (XIX w.) całkiem głucho, (w imię ścisłości: na str. 72 znajdujemy wzmiankę o Trentowskim i Łukasiewiczu, którzy ze względu na ujęcie swe prawa sprzeczności, mają być niebezpieczni dla kultury), Kant dla Chwistka jest poprostu naiwny (105 str.), Hegel groteskowy (110 str.). Natrafiamy i tym razem na zdumiewającą konsekwencję. Zarzuciwszy Platonowi, Arystotelesowi, Kartezjuszowi, Leibniz'owi, Kantowi mętność pojęć i fałszywość twierdzeń, konkluduje: „Niemniej podziwiamy wielkość ich myśli i musimy przyznać, że zasługi ich dla ogólno-ludzkiej kultury są olbrzymie" (105 str.). Jaka szlachetna wyrozumiałość!

Strona społeczna rzeczy: poruszam ją zmuszony przez autora. System absolutny jest według niego szkodliwy społecznie! Odpowiem chyba tylko tyle: gdyby poglądy Chwistka ocierały się chociaż o prawdę, należałoby zlikwidować katedry filozofji: starsi panowie, mówiący o swoich, częściej o cudzych przeżyciach (filozof w pomyśleniu Chwistka), widok nazbyt gnuśny. Można dodać: system idej, wchodzący w immanentne dla człowieka warunki czaso-przestrzenne, wytwarza określoną kulturę; poza tą jednią hiperfizyczną powszechności istnieć mogą tylko zgraje solipsystów, społeczeństwo, ani historja, ani kultura — nie.

Nakoniec, raczej gwoli wesołości, środek Chwistka na rozbudzenie twórczości filozoficznej w Polsce. Zbawienie ma przyjść od Żydów; zapowiedź o tyle radosna, iż na Żydach w Polsce przecież nie zbywa. Trzeba jeno umieć zapobiec na przyszłość emigracjom w rodzaju E. Meyersona; nie rozumiem tylko, cóż będzie można poradzić, jeśli prof. Myślicki zechce odjechać pierwszym ekspresem do Hagi? I co właściwie mogło się podobać Chwistkowi u E. Meyersona, autora „L'explication dans les sciences?" Oparcie nauk na podstawach filozoficznych: jedności, powszechności, absolutności, totalności? Sympatje heglowskie? — Przy sposobności chciałbym od autora usłyszeć o zasługach Freuda dla filozofji: wydaje się to bowiem naigrywaniem się z tego sexual-beletrysty, zarówno jak (mutatis mutandis) w wypadku Einsteina, będącego doskonałym przykładem idjotyzmu filozoficznego[5]).

Chwistcyzm nie jest groźny dla intelektualistów, nie jest a fortiori dla racjonalistów, zagraża natomiast inteligencjonistom, w całej ich absolutnej niezaradności na drodze inteligibilizacji rzeczywistości w dorównaniu — o jedność systemu opartej, jakoby przychodzącej z odsieczą „Troi" — filozofji osobistego komfortu indywidualnych przedstawień, będącej większem złem od zupełnego ahistoryzmu (który zresztą implikuje), i od najbardziej ponurych zboczeń: materjalizmu, sensualizmu i t. d. w obrębie samej filozofji.

Systematycznej — o ile to możliwe ze względu na przedmiot — likwidacji chwistcyzmu dokonywa St. Ign. Witkiewicz, do świetnego studjum którego (drukowanego w „Zecie") odsyłam.

J. J. Stępniewski.

---

1) Wyłączenie historji w produkcjach myślowych, wyłączenie zupełne metody i systemu, stwarzające gorszącą rozwiązłość myśli, tem straszniejszą, że dokonywaną w antyszambrach filozofji; oto esencjalność tych potworności intelektualnych, które nazywam: chwistkalia.

2) Artykuł prof. Chwistka w 2-gim numerze „Pionu".

3) Leon Chwistek: Zagadnienie kultury duchowej w Polsce. Warszawa 1933.

4) Niedorzeczność „teorji" wielości rzeczywistości pojmuje się djalektycznie sama przez się: a) wielość implikuje jedność, zarówno w sobie, jak w staniu się możliwym przedmiotem apercepcji, czy refleksji; b) rzeczywistości wyłączające wszelką jedność nie dają się myśleć, jako takie, ani nawet nazywać wyrazem: „rzeczywistość"; co natomiast bywa nazywane: rzeczywistością, postuluje całą złożoność i mnogość atrybucyj, ustanawiających w zespole model wszelkiego rzeczywistego, otrzymującego przez to cechę doskonałej jedności.

5) Ta opinja na odpowiedzialność złączoną: moją i jednego z wybitnych matematyków i filozofów polskich (vide zresztą w sprawie tej: Bergson).

Świat słowiański

W Pradze ukazał się pierwszy numer nowego czasopisma, poświęconego sprawom sztuki i literatury, p. t. „KWART". Wychodzić będzie cztery razy do roku. Redaguje architekt Vit Obrtel. Numer pierwszy przynosi obok oryginalnych wierszy Seiferta, J. Zahradniczka i Jindricha Horejszigo doskonałe przekłady wierszy francuskich Tristana Corbiera, Jules Supeviella, Louis Aragona, Paul Eluarda. Przekładów dokonał J. Horejszi.

Wyczerpujące i godne uwagi studja z zakresu malarstwa, architektury oraz zagadnień społecznych dopełniają bogatej treści numeru. Godny podkreślenia jest artykuł wstępny, w którym A. Marc wypowiada się przeciwko faszyzmowi i komunizmowi. Autor, określając niejako stanowisko redakcji, zapowiada, że czasopismo walczyć będzie „O nowy porządek" i o wszelkie istotne wartości ducha i kultury.

W następnym numerze Kwartu, który ukaże się przed Bożem Narodzeniem, będą umieszczone przekłady z poezji polskiej i rumuńskiej.

Jaroslav Janouch przełożył „Litanję do Najświętszej Panny Marji" Norwida. Poemat wyjdzie nakładem Floriana na Morawie. Janouch przekłada obecnie „Promethidiona".

Nagrody państwowe z zakresu literatury i sztuki przyznało ministerstwo oświaty w Czechosłowacji dn. 28. X. następującym autorom: Iv. Olbrachtowi za powieść „Nikola Szuchaj — zbójnik", J. Kvapilowi za książkę wspomnień: „O czem wiem", Tido J. Gaszparovi, pisarzowi słowackiemu, za tom nowel: „Marynarze", artyście J. Steimartowi za jego dotychczasową działalność na polu sztuki scenicznej, E. Axmanowi za „Symfonję opus IV", oraz za dzieło w języku niemieckim „Verlobung im Traum" H. Krasowi.

Ukazał się pierwszy numer czasopisma „Slovenskê smery". grupującego wszystkich autorów słowackich bez względu na ich przynależność polityczną. Umieścili w niem swe prace: Krczmery, Jesensky, Lukacz, Vamosz, Halamova, Tidor Gaszpar.

W stulecie urodzin Borodina, znanego kompozytora rosyjskiego zostaną odegrane w Moskwie dwa jego, nowoodnalezione przez prof. Lamma, utwory.

Mickiewicz sejmowy

Adama Mickiewicza Dzieła Wszystkie. Zebr. i oprac. staraniem komitetu redakcyjnego. Warszawa 1933. Nakł. Skarbu Rz-plitej Polskiej. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Tom V, XI, XVI.

Słusznie zapytywał jeden z krytyków, pisząc o wydaniu sejmowem dzieł Mickiewicza, czy cel uchwały sejmowej został w niem osiągnięty; słusznie też dał na to negatywną odpowiedź. To olbrzymie, monumentalne wydawnictwo, zawierające — jak widać już z tomów powyższych — istotnie „dzieła wszystkie", nie będzie napewno tem, które „zbłądzi pod strzechy". Przeszkodą zaś będzie nie jego kosztowność, bo jest ono zadziwiająco tanie, lecz właśnie jego monumentalność i wyczerpująca sumienność naukowa opracowania. Czy jednak nie lepiej się stało, że podniosły frazes o „zbłądzeniu pod strzechy" zawisł w próżni? Czy nie lepiej, że rezultat uchwały sejmowej jest właśnie taki jak jest, a nie inny?

„Zbłądzić pod strzechy" mógłby tylko jakiś idealnie, i pod tym kątem właśnie, skonstruowany wybór pism Mickiewicza, wolnych od przypisów, dodatków i urywkowych, fragmentarycznych materjałów, mających wartość przedewszystkiem biograficzną. W wyborze takim, zdaniem mojem, nie byłoby miejsca na żaden z trzech powyższych tomów, które tu pierwsze ujrzały światło dzienne. Ani bowiem „Pisma prozaiczne polskie" (tom V), zawierające głównie przemówienia i projekty organizacyjne z okresu filomackiego, oraz rozprawy krytyczno-estetyczne, ani „Przemówienia" (tom XI), będące głównie zestawieniem przemówień Mickiewicza w kole towiańczyków, ani wreszcie „Rozmowy" (tom XVI), — nie wytworzyłyby w oczach szerokich rzesz czytelniczych jednolitego i budującego obrazu Mickiewicza, t. j. takiego, jaki dla ludzi o nieskomplikowanej strukturze duchowej, jest i wystarczający i potrzebny. Wywołałyby one natomiast raczej zamęt w ich pojęciach i sądy o poecie krzywdzące może i niesłuszne; nie zrozumianoby, że fenomen duchowy tak ogromny nie jest łatwy do ogarnięcia, że rozbija on skorupy wyobrażeń stereotypowych i uproszczeń, że wreszcie musi ukazać nam zbliska mnóstwo wzlotów i załamań, fermentów groźnych i wzniosłych, niespodzianek i krzyżujących się płaszczyzn.

To zamazanie jednolitego wizerunku duchowego Mickiewicza byłoby nieuchronnem, gdyby te trzy tomy, bezcenne skądinąd dla wyjaśnienia zagadki fizjonomji ideowej wieszcza, czytane były istotnie „pod strzechą". Wydaje mi się jednak, że to — Bogu dzięki — nie grozi. Wydanie zbiorowe dzieł Mickiewicza jest tedy tem, czem być powinno: w okresie wielkiego przełomu duchowego, jaki przechodzi dziś umysłowość polska, w okresie krystalizowania się nowego, ugruntowanego na fundamentach filozofji narodowej, poglądu na świat, w okresie mobilizacji wszystkich sił intelektualnych i kulturalno-twórczych, przysposabiających Polskę do odegrania decydującej roli dziejowej — przynosi nam pełne, wyczerpujące, definitywne w pewnem znaczeniu opracowanie spuścizny jednego z największych genjuszów i proroków narodu.

Ostateczna ocena wartości naukowej i — sit venia verbo — epokowej, tego wydawnictwa, nastąpić może dopiero po ukazaniu się wszystkich szesnastu tomów. Ale z tego, co leży już przed nami, spodziewać się należy, że praca — jedna z największych, jakie zadała nasza wielka, romantyczna przeszłość pokoleniu współczesnemu — praca scałkowania i zawarcia w skarbcu kultury polskiej tego jednego, ogromnego jej rozdziału, którego tytuł: Mickiewicz, będzie naprawdę ukończona. Jeżeli pokolenie to zdobędzie się na wysiłek podobnej rekonstrukcji spuścizny innych tytanów myśli i twórczości polskiej: Hoene-Wrońskiego, Trentowskiego, Libelta, Norwida, Brzozowskiego (zbiorowe wydanie Wyspiańskiego już mamy), będzie można przystąpić do drugiego etapu: do generalnego opracowania krytycznego i syntezy wszystkiego, co wyprodukowała i dała ludzkości Polska XIX-go stulecia. Ten wielki dług winniśmy im wszystkim, winniśmy przedewszystkiem historji.

Mickiewicz, jaki wyrasta przed nami z kart rzeczonego wydania zbiorowego, zwłaszcza z „Przemówień" i „Rozmów", to Mickiewicz zgoła inny, niż ten, którego znaliśmy i którego teksty deklamowaliśmy od święta. Będzie się musiała Polska współczesna jakoś uporać z tem przewartościowaniem pojęć, z tem fascynującem, lecz i przeraźliwem widowiskiem. Widowisko to bowiem przejmuje do głębi swoją tragiczną grozą. Oto człowiek — słup ognia, człowiek w szarpiącym niedosycie, w męce jakby czyśćcowej. Człowiek, któremu *i poddać się nie wolno*, i podziwiać go trzeba. A poddać mu się nie wolno, bo już przerasta powoli rzeczywistość polska w gmach konstruktywnej myśli i w spiż realnej potęgi. Powrót do konwulsyjnej szamotaniny z samym sobą, do obłędnego niemal mistycyzmu, do żywiołów rozkołysanego uczucia, byłby dziś cofnięciem się, upadkiem. Ideał Królestwa Bożego na ziemi, ujrzanego w kurzawie rewolucyjnej, poprzez „Trybunę ludów", przeistacza nam się — pod wpływem krwawego bankructwa haseł demokratyczno-utopijnych — w koncepcję nową, z duszących oparów tych wyzwoloną. Nie tak pojmujemy dziś Sprawę Bożą i pogłębienie odrodzeńcze chrześcijaństwa chcemy widzieć nie w mistycznych praktykach à la Towiański, lecz w zwycięstwie twórczego rozumu. I choć „tylko gwałtownicy zdobywają królestwo niebieskie", wiemy już, że nie „wkonwulsyjniać się w niebo" heroiczną metodą Mickiewicza, lecz *samostwarzać się* nam trzeba przez najwyższy wysiłek woli moralnej i wiedzy.

Walka Mickiewicza z rozumem była wielkiem, bolesnem nieporozumieniem. Zaródź jej tkwiła w podłożu epoki, t. j. w gwałtownej reakcji przeciwko empirycznemu, ateistycznemu racjonalizmowi oświecenia; ale wszak — z naszego punktu widzenia — „racjonalizm" ten był właśnie pogromcą i tępicielem rozumu. Mickiewiczowi obcy był, w tem ujęciu sprawy, nie rozum (w którym wielka metafizyka polska odkryła właśnie akt stwórczy i jego formę: świat ducha), lecz *rozsądek*, skierowany wyłącznie ku rzeczom ziemskim i wrogi wszelkiej transcendencji, wszelkiej dążności do absolutu. Gdyby danem mu było zetknąć się z tak postawionym problematem rozumu, z prometeizmem stwórczego przekraczania warunków fizycznych, transcendującym w sferę nieśmiertelnej i nieskończonej rzeczywistości osobowej ducha, — byłby napewno poszedł inną drogą. Nieszczęśliwe okoliczności nie pozwoliły mu nato. I oto ten człowiek-genjusz, wypowiadający w „Improwizacji" konradowej nie co innego, jak właśnie tęsknotę do stwórczej autonomji wiedzy (= jaźni absolutnej), uległ ciemnemu (niestety, pomimo wszelkich wysiłków odrodzenia moralnego człowieka!) mistycyzmowi Towiańskiego, potępiając nienawistnie wszelką filozofję, wszelką spekulację metafizyczną.

Ważną rolę odegrała tu niewątpliwie, właściwa psychice polskiej supremacja rozumu praktycznego nad spekulatywnym, jej rozpęd do realizacji konkretnej, do czynu. Ale przecież nigdzie ten czyn społeczny, ta realizacja Królestwa Bożego na ziemi, nie wypowiedziała się tak dobitnie jak w metafizyce polskiej. Dowodzi to, że teorja nie jest przedmiotem metafizyki wyłącznym i jedynym; że technja, metafizyka działania i tworzenia stanowi dział jej, jeszcze bliższy samej istocie wiedzy. Mickiewicz nie dostrzegł tego, i porzucając żmudną drogę uprawy rozumu, zapamiętał się w wybuchach żywiołowej uczuciowości, na której realizacja tych gigantycznych celów, jakie sobie zamierzył, była wręcz niemożliwą. Stąd jego tragiczne, czyśćcowe szarpanie się, stąd — historycznie rzecz biorąc — klęska. Choć — w sferze ducha — „gwałtownik" ten przemógł sam siebie i zwyciężył...

j. b.

Polska Akademja Literatury

Consummatum est... Polska Akademja Literatury, której stworzenia Stefan Żeromski domagał się tak uporczywie, stała się faktem dokonanym. Na uroczystej inauguracji, odbytej przy współudziale Pana Prezydenta Rzplitej i członków rządu, z premjerem Jędrzejewiczem — jako głównym promotorem tego historycznego aktu — na czele, marmurowe oblicze Żeromskiego patrzyło chłodno i przenikliwie na konkret chwili, ucieleśniającej marzenie Jego wielkiego, płonącego serca. Formie stało się zadość, na treść... czekamy.

Właściwie cała sprawa dopiero się zaczęła, problemat Polskiej Akademji Literatury oczekuje rozwiązania godnego siebie. Czy urzeczywistnienie doniosłej idei stanie się jej oficjalnym pogrzebem, czy też będzie to naprawdę otwarcie nowej epoki w życiu duchowem Polski, epoki odrodzenia najwyższych ideałów i nakazów moralnych, wyżłobionych na spiżowej tablicy testamentu romantycznego, epoki wszechstronnej działalności twórczej i intelektualnego „Sturm und Drang Periode".

Od dwu lat prawie trwa nasz „alarm w Tebach". Oby Akademja Literatury nie zwiększyła groźnego ciśnienia atmosfery sybarytyzmu i gnuśnej bezideowej śpiączki, w jakiej czyn nasz zastał stolicę Polski wraz z jej „elitą intelektualną". Oby fotele, palmy i łysiny akademików nie stały się synonimem oficjalnego frazesu i zakulisowego ospalstwa. Oby przykład akademji francuskiej, z krążącemi o niej anegdotami, nie był tu zaraźliwy. Pragniemy *polskiej* akademji literatury, Akademji walczącej, twórczej i zwycięskiej.

Trudno jest określić dokładnie na papierze cele i zadania instytucji o tym charakterze. Program prac z całą litanją punktów szczegółowo wymienionych wprowadziłby tu schematyzm niebezpieczny, bo biurokratyzujący zgóry wszystkie poczynania. Ważnem jest jedno: czujna i rozległa myśl, złączona z ugruntowaną na poczuciu odpowiedzialności, twardą wolą. Na tem jednem trzyma się racja istnienia P. A. L., to jedno zdecyduje, czy będzie ona czynnikiem twórczym i pożytecznym, czy też machiną ciężką i niepotrzebną. Od walorów osobistych członków Akademji zależy tu bodaj czy nie wszystko, — w każdym razie bardzo wiele. Bez środków, programów i subsydjów można przebudować nawzdłuż i wszerz całą rzeczywistość polską; a z Bóg wie jakiemi funduszami, środkami i ułatwieniami można stać się hamulcem wszelkiego czynu, pobielanym grobem, jak to było w słynnym wypadku Miriama i jego snu nad rękopisami Wrońskiego i Norwida.

Czy p. A. L. rozporządza w pełni temi walorami osobistemi, bez których budowla Akademji może sromotnie runąć i zamienić się w ciało bez duszy, w grób pobielany? Miejmy nadzieję, że tak, choć niewątpliwie... z paru wyjątkami. Nie chcemy tu, w momencie tak uroczystym, gdy na tej wysokiej grzędzie rozkwitają pierwiosnki pięknych zapowiedzi, wdawać się w krytykę drobiazgową i przedwczesną. Dość już o tem rozpisywała się prasa wszelkich odcieni. Być może, że wybór prof. Zielińskiego i prof. Kleinera nie zupełnie harmonizuje z nazwą „akademji literatury", tembardziej, że uczeni ci są już członkami Akademji Umiejętności; jednakże, przy niskim, zatrważającym stanie kultury i dyscypliny intelektualnej wśród polskich literatów, obecność tych przedstawicieli światłej myśli naukowej w gronie Akademików, zdaje się być bardzo pożądana. Nie chcemy też przypominać gorszącego pominięcia Świętochowskiego, lub powołania do Akademji osób, których dorobek pisarski jest znikomo mały (np. Wincenty Rzymowski). Pragnęlibyśmy bowiem, by rozpoczęcie prac Akademji nastąpiło w atmosferze przychylnej zachęty.

Tem niemniej wyrażamy nadzieję, że, skoro już przydarzyły się takie lapsusy, jak zaszczytne uwieńczenie Miriama-Przesmyckiego za ćwierćwiecze laurowej bezczynności, skoro już propagator seksual-demokracji i tak *niszczycielskiego* moralnie i społecznie hedonizmu (w warunkach, w jakich Polska obecnie się znajduje), został publicznie unieśmiertelniony, — Akademja zdobędzie się na tyle energji i wewnętrznego rygoru, by na przyszłość uniemożliwić na terenie polskiej kultury podobne ewenementy. Powaga większości chyba coś znaczy i w tym zespole. Działalność społeczno-seksualna Boya, zostanie więc — jak ufamy — po przyjacielsku, lecz stanowczo ograniczona, a koleżeński nacisk na Miriama uświadomi mu konieczność powrotu do rzetelnej pracy i wydania nareszcie (przynajmniej dla akademickiego prestige'u!) obiecanych dzieł Norwida. O Hoene-Wrońskim nie wspominamy już tutaj, bo w tym wypadku nawet Akademja Umiejętności nie mogła sobie z Miriamem dać rady.

Akademjo, do czynu! Marmurowe oblicze Żeromskiego patrzy na Was!

Ratujmy zbiory po Wyspiańskim

Dzieje się rzecz smutna, bolesna, więcej jeszcze: groźna, rzecz o której społeczeństwo polskie jak najprędzej dowiedzieć się musi. Największe jakie istnieją zbiory po Stanisławie Wyspiańskim, znajdują się w niebezpieczeństwie i niema do kogo odwołać się, dla ratowania tych skarbów, jak tylko do honoru i wielkoduszności narodu i państwa polskiego.

Znany literat, badacz i znawca Wyspiańskiego, Włodzimierz Żuławski, przygotowujący obecnie wydanie I-go tomu „Listów" poety, przez całe życie zbierał i skupował rozproszone fragmenty bezcennej dla Polski spuścizny po twórcy „Wyzwolenia". Poszedł na to cały majątek namiętnego wielbiciela poety, ale gorliwość i trud długiego życia wydały owoc w postaci zbioru najbogatszego w Polsce. Kto tylko choć trochę zajmował się Wyspiańskim, wie, że większość najbardziej charakterystycznych i cennych dla przyszłej historji jego twórczości dzieł Wyspiańskiego — malarza i rękopisów, znajduje się właśnie u Żuławskiego. O zmontowaniu wystawy dzieł Wyspiańskiego bez pomocy tych zbiorów nie da się nawet pomyśleć, jak się to okazało ostatnio, podczas uroczystości 25-lecia śmierci poety, gdy wystawa w Pałacu Sztuki w Krakowie składała się w lwiej części z wypożyczonych stamtąd objektów.

Pobieżne już choćby wyliczenie tych skarbów, ukaże każdemu Polakowi ich wagę. Są tam, prócz kilkunastu większych, znanych powszechnie płócien, wszystkie rzeźby (płaskorzeźby, jak „Strącenie aniołów", „Maternitas" i in.) portrety, pejzaże, projekty witrażowe („Śluby Jana Kazimierza", „Koronacja Matki Boskiej" itp.), rysunki z Iljady, teatralja (szkice do „Warszawianki", „Protesilasa i Laodamji", bezcenne szkice kostjumowe z „Legendy", makiety), projekty witrażów wawelskich, okładki dzieł Wyspiańskiego, kwiaty (m. in. polichromja z kościoła franciszkańskiego), szkicownik, kilkadziesiąt kartonów (rekonstrukcje z witraży dominikańskich z 15-go wieku), rysunki szkolne z klasy II, III, IV i V-tej, książki z uwagami i notatkami własnoręcznemi, (wiadomo, że Wyspiański miał przez całe życie zwyczaj notowania swych uwag i refleksyj na marginesach czytanych książek), sławny zielnik, stanowiący tak cenny eksponat na wystawie jubileuszowej, niektóre rękopisy (np. sceny z „Zygmunta Augusta"), wreszcie korespondencja z rodziną; w zbiorach znajduje się też ostatni rysunek, jaki Wyspiański wykonał przed śmiercią.

Ta oto bezcenna spuścizna, która w innym kraju dawno już byłaby odkupiona przez państwo od prywatnego posiadacza i umieszczona w muzeum publicznem, gdzieby każdy mógł się z nią zapoznać — jest dzisiaj zagrożona rozproszeniem. Właściciel zbiorów znalazł się w sytuacji materjalnej tak opłakanej, że zmuszony będzie w najbliższym czasie, o ile nabywca się nie znajdzie, rozsprzedać je (jak to niestety zmuszony był uczynić już z kilkoma obrazami) pojedyńczo handlarzom obrazów i antykwarjuszom. Ewentualność taka, dla człowieka, który poświęcił cały majątek, aby zgromadzić i zabezpieczyć umiłowane przez siebie arcydzieła i pamiątki przed zaginięciem i rozproszeniem, byłaby prawdziwie tragiczną; to też zwracał się on kilkakrotnie do magistratu Krakowa, tego miasta, którego chlubą był Wyspiański i które apoteozował wprost w swej sztuce, z propozycją kupna zbiorów za sumę 40.000 zł, rozkładając tę sumę na pięć rat rocznych. (Zaznaczyć trzeba, że przedstawiają one wartość bez porównania wyższą). Niestety magistrat oficjalnej odpowiedzi na trzykrotne propozycje nie dał, a nieoficjalnie kupna odmówił, motywując to brakiem funduszów.

Apelujemy do wszystkich Polaków, którzy nie zatracili poczucia odpowiedzialności narodowej i zrozumienia dla najwyższych wartości duchowych, apelujemy przedewszystkiem do tych czynników w państwie, które z urzędu pełnią funkcję opieki i straży dóbr kulturalnych Rzeczypospolitej: *Nie dajcie ginąć i rozpraszać się najcenniejszym zbiorom po Tytanie polskiej sztuki.*

Legenda i Prawda

(Dokończenie)

Do czego wówczas Polska szła, Wyspiański widział jasno, najwybitniejsi dostrzegają to dzisiaj dopiero na jej powłoce. Warszawa tańczy z zadartym „nosem" z Wesela. Obok załamania się ładu moralnego, etyki, honoru i wszelkich uczuć ludzkich na całej linji, materjalizm rozbudza coraz więcej instynkty zwierzęcości. Etyka i honor upadły tak nisko, iż najbezczelniejsze oszustwa popełnia się z zimną krwią, co gorsza, społeczeństwo uważa podobne łotrostwa za rzecz zupełnie moralną. Ci właśnie, których obowiązkiem jest wołać z całych sił, aby zbudzić ludzkość z obłędnego stanu, — ci grzęzną w błocie, przesyconem odurzającemi wyziewami, zachłystują się brudami, opiewają rozklekotanymi rymami zwyrodnienie seksualne, lub walkują własną, trędowatą duszę i rozmiękczony mózg. Dla zgangrenowanej literatury dzisiejszej i teatru źródłem natchnienia jest cudza sypialnia i cała humanistyka zaczyna się i kończy poniżej pasa. Płeć padła na mózg.

Jasnej Krakowska przybyszelda z Berlina — Babilonu zalała Polskę. Tego właśnie lękał się Wyspiański. I bronił, bronił z całych sił, do upadłego bronił. Niestety, na proch się jego myśl starła w naszej krytyce. Pojmujemy go opacznie jako transcedent, metafizykę, bez związku z życiem. Bijemy Mickiewiczów urojonych, hej! To znów nie plotki, nie anegdoty, to obraz Polski, tej niby odrodzonej, związanej z Zetem, wzwyż! To „Polska Druga" sierpniowa roku Pańskiego 1933 naszkicowała niniejszy obraz... Czas się odwrócił. Żyją paony, androginy, płeć padła na mózg.

Jest Przybyszewskiego duch pośród nas. Jest w tem wszystkiem transcedent. Zabrakło tylko Mickiewicza z hasłem: Ojczyzna, Nauka, Cnota — zabił go Konrad Wyzwolenia. Heraklitowy, ciemny Lack górą!

„Ciężko nie mieć na ziemi dla ducha podstawy". Poezja nie związana z życiem jest sztucznością. A gdy się sztuka przeradza w sztuczność, musi ulec w walce z życiem — twierdzi Ganszyniec. Poeta może — niekiedy nawet musi być ciemny. Lecz naświetlanie tych ciemności winno być jasne. Gdy „ciemny" poeta znajdzie ciemnego krytyka, obaj znów wspólnie ciemnego chwalcę — literaturę dajcie rzeźnikom, niech się zabawią przy libacji! Trzezwym zdrowia nie przyniesie. Jeśli poeta ma tylko bawić i przerażać, cyrk miejscem jego! Szastanie transcedentem nie zda się na nic. „Powołujesz się na niebo i piekło — mówi Konrad do jednej z Masek — w które sam nie wierzysz"! To wymowne. Szło mu o sprawę życia re-al-ne-go, szło mu o Polskę.

W „Klątwie Legendy" wyraźnie zastrzeżono, że Przybyszewski nie jest osią obrotu myśli Konrada. Jest punktem zaczepienia nerwu łączącego metafizykę sztuki z realnem życiem Polski współczesnej. Musiało tak być. Ten „Genjusz" nie wyzwolenia, ile raczej bezwzględnej wolności „poza dobrem i złem" wprowadzał w psychikę naszą nihilizm rozumu — zatem nihilizm życia. Była to więc chwila osobliwa, której napiętnowanie jest kategorycznym nakazem rzetelnej, z metafizyką związanej sztuki.

Resumé.

ad 8, 9 i 10). Pogląd Pański i p. Brauna (lubo i tu poważne zachodzą różnice) jest dla mnie rewelacją. Dotąd było powszechne wrażenie wiary, że Wyspiański, względnie Konrad z Improwizacji bije w Genjuszu tego cmentarnika — upiora z Kurhanka Maryli, kamieniejącego rycerza i wogóle cmentarnego Gustawa z drugiej i czwartej części Dziadów.

Bo tu miałby duży sens okrzyk Konrada: Kochanku ruin i zapadłych uroczysk: poezjo, precz! Ale Mickiewicz z Trybuny ludów — polityk i socjolog, protagonista w pewnym względzie Ligi Narodów?! jakiem prawem i jaką logiką?!

Mickiewicza nazywa czechosłowacki prezydent - filozof Tomasz G. Masaryk „znakomitym poetą i oryginalnym filozofem" a Krasińskiego „najgłębszym i najsubtelniejszym duchem Polski" (por. Henryk Batowski, Przegląd Współczesny Nr. 96 r. 1930). „Mickiewicz i Krasiński — mówi Masaryk — stali się moimi nauczycielami, dali mi konkretny przykład stosunku polityki do poetów i tak mogłem i w Paderewskim wskazać odpowiedniego narodowego działacza politycznego. Z nich jasno widzimy, jak Polacy swoją gorącą miłość narodu pragną zużytkować dla organizowania całej ludzkości — a to właśnie w tej wojnie jest programem sprzymierzonych. Ideje mesjanizmu polskiego wprowadziły ten program demokratyczny, europejski, wszechludzki". Takie świadectwo wystawia Mickiewiczowi z Trybuny wielki polityk, Masaryk. (Slovenské problemy, str. 124—125) — Tkwi tu również głęboka myśl, którą wypowiedział Lutosławski: Słowianie zachodni i południowi muszą utworzyć barjerę przeciw niemieckiemu naporowi, którego nie „ugłaszcze ni prośbą, ni groźbą, ni dary". Mickiewicz — poeta jest przeciwny wszelkiej rewolucji; wierzy w ewolucję. Mickiewicz z Trybuny wierzy w powrót Polski drogą oręża wojny powszechnej, po której przyjdzie odrodzenie ludzkości, jak wierzył młodzieńczy Mickiewicz w siłę Napoleona, która zbawi ludzkość.

„Mickiewicz (z Trybuny) — mówi Masaryk — jest katolikiem według zasad Bonifacego VIII, który miał pokazywać dwa miecze, mówiąc: Ecce duo gladii, ego sum Caesar. Miecz zatem ma zrealizować ideę polską, słowiańską, wszechludzką". — Ten Mickiewicz od poezji, od słów, słów, słów, które dobrowolnie porzucił, idzie do czynu po myśli Wyspiańskiego — Konrada. Gdzież tu jest miejsce na monagonję i te, „przeciwne dążenia Polski — Mickiewicza, które Wyspiański uznał jako niesprzymierzalne?" — Chyba, że jest to moment psychicznego odrywania się przemocą od nietrzeźwej, zagmatwanej idei Towiańskiego. Lecz w takim razie byłby to zwykły pojedynek ducha Mickiewicza z Towiańskim i powrót do siebie.

Z okresu Mickiewicza — poety niech nas nie bałamuci rewolucyjność, posługująca się zdradą w Wallenrodzie, lub „zemstą" Konrada z Dziadów. W okrzyku: „Zemsta choćby mimo Boga" wyraził się duch narodu z powstania poza Mickiewiczem. Wyraził się też i duch Mickiewicza, tego z więzienia, rozgorzały widokiem piekielnych metod Nowosilcowa i krwi niewinnej polskich Młodzianków. Było to jednak przeżycie wtórne, czysto artystyczne, a nie nauka lub tendencja polityczna. Tak samo rzecz się ma z „apoteozą" zdrady. Zdradę Wallenroda zawsze pojmowałem spontanicznie po myśli Masaryka, który tak mówi: „W krajach słowiańskich widziano w poemacie tym zwrot do machiavelizmu... Ale to nie jest myśl zasadnicza, lecz tylko głęboka analiza niewoli politycznej. Mickiewicz ucieka z niewoli i zmierza ku swobodzie, ku niepodległości dla narodu i całej ludzkości" (Henryk Batowski: Masaryk a Polska). Jest to znów głębokie artystyczne przeżywanie tragedji narodu w kontaminacji osobistego dramatu Alfa i Aldony (Gustaw-Kobieta), w czystej dziedzinie metafizyki.

I jedno jeszcze. Zasadniczą cechą twórczości Mickiewicza jest heroizm, konkluduje J. Tretiak. Wtóruje mu prof. Pigoń (wyd. sejm. T. XI. s. 112): „Dwa okresy: lata Dziadów (a gdzie Filomatów i Ody?), tudzież lata Prelekcji, przewodnictwa w Kole, Legjonu związane są klamrą wewnętrznej wspólnoty. Tu i tam podobny zasadniczy fundament, ta sama postawa etyczna wobec życia, ta sama heroiczna żądza odmiany świata i pchnięcia go na nowe, wyższe tory, wyższy ład. Czynu, czynu! „Dziś prawicy, jutro praw!" „Żeglarzu, ciągnij ruder", w znak naukowej, cnotliwej Ojczyzny. Jego przemowy, jako Naczelnika Filomatów 1818 r. wiążą się z listami 1842 r. w jeden wielki czynu „szwunk". „Poco poezja?" (Do Chodzki) „Czy to nasza poezja ma być w książkach a w nas zostać proza. Mamyż obmalować życie dziełami pięknemi zewnątrz, a wewnątrz być grobami pełnemi kości spróchniałych? Czas, bracie robić poezję"! Czynu, czynu, naród czeka — powtórzy Krasiński i o ten sam czyn stoczy walkę z Maskami „wróg romantyzmu", Wyspiański; nauczył go ten od Wilna po Carogród jeden cały niezłomny, heroiczny Mickiewicz. Jedna i ta sama heroiczna żądza zmiany świata na nowy, wyższy ale zawsze ziemski, realny ład, w którymby zwrócono Człowieka Bogu, a Człowiekowi prawo w myśl usiłowań stałych od Modrzewskiego i Skargi, aż po Staszyca i Trybunę Ludów. I gdzież tu konieczność, miejsce, czas i sens na jakikolwiek duell Konrada-Wyspiańskiego z Trybuną Ludów, lub na śmieszny monagon Adama z Mickiewiczem? Skąd i dlaczego ten dziwny pomysł i upór? Jedno, coby nas do przyjęcia tej interpretacji rozumnie skłaniać mogło, to może punkt honoru lub zbyt skrupulatny wzgląd na progeniturę, wzgląd, który jednak wobec majestatu prawdy ostać się nie powinien. Stanowisko nasze ujmy dzieciom poety nie przynosi, a dla jego artyzmu wyraziliśmy rzetelny respekt. Mickiewicz-Trybun to nie omarlicowość, nie kochanek grobów, nie Harpia narodu i nie chochoł ani genjusz z Wyzwolenia, ale polski, wszechludzki Noah, który w zbudowanym przez się korablu romantycznym zamknął na czas potopu najcenniejsze walory polityczno-społeczne życia ludzkości, aby teraz, gdy oschną pleśnie potopu rozdzielić je światu na nowe dzieje jako Opatrzność i Przeznaczenie. To tylko jedno miałoby sens: Mickiewicz-Przeznaczenie. Inne pojęcie jest sofisteryjnym frazesem sprytnego mówcy dla olśnienia czytelnika.

Stanowisko Wyspiański contra Mickiewicz (w pojęciu rzekomo Wyspiańskiego) ma ten niesłychanie dowcipny dla przeciwników polskiego na rzecz bolszewickiego mesjanizmu doniosły skutek, iż autora Dziadów czyni się Harpią narodu, Wyspiańskiego zaś spycha się do roli karykatury moralnej, najnędzniejszego kata Mickiewicza, któremu on po nikczemnem zrabowaniu Konradowego płaszcza i spaleniu całego dorobku kultury z cynizmem głowę ścina, sam schodząc do miary pisarza z pierwszej połowy XVIII w., który „gędził, aby wolny czas przepędził" — jak to już dobitnie zaznaczył K. H. Roztworowski, mówiąc o ubrdaniu. Z którejkolwiek więc strony wglądniemy do wnętrza tego problemu, monagonja absurdalnem patrzy na nas obliczem. Moja natomiast przybyszewszczyzna realizuje każdy postulat logiki, spełnia wszystkie warunki założenia i szerokie odsłania horyzonty wnikaniem w praktyczną wielkość inkryminowanych poetów, którym oddaje głęboki hołd. Zasadniczą różnicę między Wyspiańskim a Mickiewiczem upatrywać należy w sprecyzowaniu ich haseł artystycznych. Ideałem jednego jest Chrystus-Napoleon (chrześcijański heroizm miecza), drugiego znowu Chrystus-Apollon (chrześcijański kult sztuki). Obaj budują realną Polskę, odnowę spotworniałej już dziś ludzkości. Wykrętny podszept o „niehistorycznym Mickiewiczu" otwiera przyszłym pokoleniom furtę do zwątpień w jakikolwiek realny żywot autora Dziadów na wzór Homera. Znany proceder legendarnego wygłupiania ludzkości. Mickiewicz obroni się gdy *sam* przemówi. Ale o „Panie, czy przyjścia Jego nie raczysz przyśpieszyć?" Nie wątpię, że wszelkie Wolnomyśliciele, myśli wolne, Bezbożniki i t. p. Wiadomości Literackie stanowisko notatki „Genjusz i plotka" podpiszą obiema rękami, ale i w to wierzę, że od życiowego ty—w prawo czy w lewo—zawisła chłonły—w prawo czy w lewo—zawisła chłonność Dzieł Mickiewicza, odrodzenie rzetelnej, Wielkiej Poezji, radość zabitego dziś życia i... (śmiejcie się wrogowie) przodownictwo lub zanik naszego państwa.

Michał Waligóra.

„Przebudzenie wiosny"

(Na marginesie przedstawienia w teatrze Kameralnym).

Sztuki Wedekinda nie możemy już dzisiaj traktować poważnie. Prymitywna inspiracja artystyczna połączona z naiwnym dydaktyzmem, grubość efektów scenicznych i mętne dywagacje o „życiu", stawiają utwór Wedekinda poza obrębem dzieł Sztuki. Nie możemy więc przykładać do niego tych kryterjów, jakie zwykliśmy stosować przy ocenie innych utworów, bo jak powiada Hebbel (jeśli się nie mylę): gdybyśmy analizowali koguta jako orła, znalezlibyśmy w nim niezwykłe nawet jak na orła właściwości.

Dlatego jedyną możliwą postawą krytyczną wydaje mi się postawa historyczna.

„Przebudzenie wiosny" napisane zostało w 1894 roku. Nazywano je „zjawiskiem czasu". Z jednej strony dekadentyzm, świat rozumiany jako „dom głupców i warjatów" z drugiej, rozwój psychologizmu i dążenie do „uchwytnych podstaw". Mamy więc tragedje istnienia związane z problemem seksualnym i drobiazgowy realizm obok scen przesyconych irrealizmem i symbolizmem. Ten ciężkostrawny gulasz pływa w brudnych „monachijskich" sosach.

Poczucie dziwności istnienia związanego z „metafizyczną potwornością erotyzmu", zapłodniło w ciągu wieków tysiące głębokich i prawdziwych artystów. Niestety Wedekind wydaje się być twórcą absolutnie pozbawionym talentu. To też „w dążeniu do uchwytnych podstaw" odbarwił grozę problemu, przesuwając punkt ciężkości na seksualizm.

Chciał Wedekind oddziaływać swoją twórczością na formy życia, chciał „zerwać zasłonę światu, który pogrążony w idealizmie i romantyzmie zatracił zdrową moralność", ale był twórcą krótkowzrocznym, naskórkowo ujmującym współczesną mu rzeczywistość, to też założenia etyczne przekształciły się w tandetny moralizm, a estetyczne w epatowanie mieszczuchów. A że z współczesnej mu sztuki umiał wziąć tylko zewnętrzne jej akcesorja, więc spotykamy w twórczości jego sceny pełne tandetnej makabry, jak np. ta, w której „zamaskowany pan" prowadzi na cmentarzu dyskusje o „życiu". Jednym słowem: rekwizytornia.

Sztuka zbudowana jest licho, jest to sceniczny tasiemiec, składający się z szeregu krótkich odsłon — można byłoby je przegrupować bez większej szkody dla całości. Mamy tu do czynienia z zupełnym brakiem zmysłu konstruktywnego. Prymitywizm efektu scenicznego wyraża się w nagromadzeniu „bebechowatych" sytuacyj.

Reasumując: sztuka pozbawiona jest jakichkolwiek walorów artystycznych.

A jednak.... a jednak, przyznawano Wedekindowi niezwykły zmysł groteski, poczucie formy satyryczno-ironicznej, entuzjazmowano się jego talentem, sztuki jego wstrząsały widownię. A dzisiaj? Dzisiaj czas, którego Wedekind był charakterystycznym zjawiskiem, zniszczył jego dzieło. Ci samobójcy, dyskutujący na cmentarzach zamiast zgrozy wywołują ironiczny uśmiech. Patrzymy na jego sztukę z takim samym zainteresowaniem, z jakim oglądamy stare roczniki pism z przed lat czterdziestu. Ot, poprostu jeszcze jeden przyczynek do „tamtych" — jakże dawnych czasów.

Dlaczego więc — pytamy — skoro przetrwało tyle innych dzieł, jego właśnie wyblakło i zniszczało? Czyżby wszystko dało się wytłómaczyć brakiem talentu? Otóż nie. O jakości dzieła decyduje przedewszystkiem *postawa* autora. Zadaniem artysty nie jest — wbrew powszechnemu dziś mniemaniu — kontrola współczesności, rola jego nie sprowadza się wyłącznie do trzymania dłoni na jej pulsie.

Ci, którzy kurczowo chwytają się tego wycinka czasu, w którym danem było im istnieć, nie wiedzą, że: „kto walczy ze światem musi zginąć w czasie, aby żyć w wieczności" (Żeromski).

Czterdzieści lat minęło. Następna czterdziestka zmiecie z powierzchni ziemi fotomontaże, faktomontaże, reportaże...

Bolesław Miciński.

Wśród nowych książek

Znane rozważania polityczno-społeczne Roosevelta „Looking Forward" ukazały się w tłumaczeniu na język francuski p. t. „Regards en Avant" (Dencel i Steele, Paryż).

Popularną książkę o Fordzie wydał w Londynie J. G. de Roulhac Hamilton. Tytuł: Henry Ford, the Man, the Worker, the Citizen".

André Suarèz wydał u Grasseta w Paryżu książkę o Napoleonie p. t. „Vues sur Napoléon".

Ryszard Wagner, jako człowiek, twórca i reformator teatru jest rozpatrywany z punktu widzenia psychologicznego w obszernem dziele L. F. Choisy'ego p. t. „Richard Wagner" (Paryż, L. Fischbacher).

Monografję Metternicha na tle obszernie uwzględnionej epoki historycznej, opracował dr. Fr. B. Schaeffer („Metternich. Monographie zur Weltgeschichte", Lipsk).

Tragiczny żywot Maksymiljana, cesarza Meksyku obrał za temat swej pracy Egon Caesar Conte Corti („Die Tragödie eines Kaisers" — Insel-Verlag, Lipsk). Autor uzyskał dostęp do szeregu nieznanych dotąd źródeł i to mu pozwoliło w sposób możliwie wszechstronny zrekonstruować w swej książce dzieje tego nieszczęśliwego władcy.

Grazia Deledda wydała nowy tom, złożony z 25 nowel p. t. „Sole d'estate" (Trever, Medjolan).

Selma Lagerlöf wydała swe pamiętniki (u Müllera w Monachjum) p. t. „Dziennik Selmy Otylji Lagerlöf".

Polityką angielską w stosunku do zagadnień wschodnich i jej oświetleniem zajmuje się książka R. W. Watsona p. t. „Disraeli, Gladstone und die orientalische Frage".

Antologję prozy niemieckiej wydał (u E. Rohmkopfa w Lipsku) Otto Forst Battaglia. Książka ta jest równocześnie rewizją wielu fałszywych sądów zakorzenionych nietylko w krytyce niemieckiej, ale i zagranicą.

Nowa powieść Fr. Mauriaca „Le mistère Frontenac" ukazała się w Paryżu nakładem Grasseta.

Dwie nowe prace o estetyce ukazały się we Włoszech. Jedną wydał Luigi Petroni pod tytułem „Il Bello in Arte" (Citta di Casselo — „Leonardo da Vinci"). Książka ta, zajmująca się podstawowem zagadnieniem piękna w sztuce, została nieżyczliwie przyjęta przez krytykę. Drugą („Orientamento di estetica"), której autorem jest Antonio Lovecchio, wypełnia przeważnie krytyka estetyki Crocego.

Studjum o Shelleyu wydał prof. Uniwersytetu w Filadelfji, Michał Benzulli („La poesia di Shelley" — Campitelli — Roma). Jest to zarazem krytyczny rozbiór poezyj tego wielkiego romantyka Anglji, a także ciekawie opracowany życiorys poety.

Monografję Chopina wydał G. Mariotti, nakładem wydawnictwa Rinascimento del Libro we Florencji.

Dawna literatura grecka jest tematem dzieła wydanego przez Wilhelma Schmida i Otta Stählina (Monachjum, Beck). Tytuł: „Die griechische Literatur in der Zeit der attischen Hegemonie vor dem Eingreifen der Sophistik".

Camera obscura nauki polskiej

W n-rze 2-gim „Pionu" Jerzy Ostrowski (w artykule pod dwuznacznym tytułem: „Kompleks ND") rozwodzi się szeroko o szkolnictwie polskiem, o jego zaletach, których własne społeczeństwo nie docenia, a które zagranicą znajdują poklask i uznanie. Wątek do swej gawędy, utrzymanej w dość popularnym tonie, wysnuwa on z powodzenia „Sztuby" Leczyckiego na kilku scenach polskich.

Artykuł ten jest naogół dość symplicystycznem podejściem autora do głębokiego i trudnego zagadnienia szkolnictwa, toteż nie zasługuje na obszerniejsze omówienie; zwrócił jednakowoż w nim naszą uwagę jeden ustęp, w którym, dla przekonania społeczeństwa polskiego o wysokim poziomie, naszego szkolnictwa, autor powołuje się na świadectwo pedagogów zagranicznych, a mianowicie na wizytę Férriere'a, którego wysoki ten poziom miał zaskoczyć i zadziwić.

Otóż jest w tem pewna nieścisłość informacyjna, którą warto wywlec na światło dzienne, ze względu na tło tej sprawy, niezmiernie charakterystyczne dla naszych „kochanych stosuneczków".

Poglądy Férriere'a, propagatora „Szkoły twórczej" są nam dobrze znane, dzięki współpracy naszej z wielu osobistościami z zagranicznych kół filozoficznych. Dlatego jesteśmy poinformowani nieco dokładniej od p. Ostrowskiego, czem się zachwyca Férriere w pedagogice polskiej: nie tem mianowicie, co się dziś w dziedzinie szkolnictwa naszego realizuje, lecz tem właśnie, co jest pedagogom polskim najmniej znane, a jeśli nawet znane, to brzydko przemilczane.

Férriere jest wielbicielem filozofji pedagogji Hoene - Wrońskiego, o której nasz świat pedagogiczny nie ma „zielonego pojęcia" lub którą całkiem niedwuznacznie ignoruje. Podziwiając genjusz twórczy jedynej systematycznie ujętej i logicznie z podstaw naukowych wydedukowanej filozofji pedagogji, Férriere przyjechał do jego ojczyzny w tej nadziei, by rozszerzyć „u źródła" swój zakres wiadomości o tej doktrynie pedagogicznej (z którą uprzednio zaznajomił się na drodze prywatnej wymiany zdobyczy naukowych).

Pamiętny swój odczyt w Wolnej Wszechnicy zaczął też Férriere od definicyj podstaw i celu pedagogji, zaczerpniętych z doktryny Wrońskiego ,a wydedukowanych z jego Prawa Postępu; (definicje te wiążą się ściśle z elementami historjozoficznemi i identyfikują się z przyczyną stworzenia istot rozumnych oraz z celem ich przeznaczeń ostatecznych). Dopiero po tym wstępie, którym poniekąd złożył hołd Hoene - Wrońskiemu na jego ziemi ojczystej, Férriere przeszedł do swych pomysłów teoretycznych i do doświadczeń praktycznych, jakie poczynił na terenie nowoczesnego szkolnictwa, przeprowadzając próbę uzgodnienia ich z wysokiemi założeniami polskiej doktryny pedagogicznej.

Warto zanotować na tem miejscu znamienny fakt, że referentka tego odczytu (wygłoszonego w języku franc.) p. Helena z Reichmanów Radlińska, streszczając dokładnie i umiejętnie cały — bez wyjątków — wykład Férriere'a, całkiem poprostu *opuściła wszystkie cytaty z filozofji pedagogji Hoene - Wrońskiego*, a więc definicje podstawowe, na których prelegent oparł cały swój wykład, twierdząc z uprzejmym uśmiechem, że teksty te jako zbyt znane (!) polskiemu ogółowi pedagogicznemu, nie potrzebują tłómaczenia. Ponieważ polski ogół pedagogiczny jest jak tabaka w rogu, jeśli idzie o powyższe teksty, więc skutek był ten, że w dyskusji pominięto „dyskretnem" molczeniem te „znane" prawdy polskiego filozofa, w czem znakomity pedagog szwajcarski połapał się odrazu, gdyż przysłowie „nemo propheta in patria sua" rozpowszechnione jest w całej Europie.

To cenne spostrzeżenie było jedyną zdobyczą, i jedynym kwiatkiem, jaki Férriere wywiózł z Polski, a polskiej kronice naukowej przybył do zanotowania — i do premilczenia! — jeszcze jeden skandalik. Perełek tych nanizano już spory sznurek. Nie tak dawno przecież przekonywano pewnego amerykańskiego badacza Hoene - Wrońskiego (który przyjechał do Polski wygłosić o nim odczyt), że niesłusznie się entuzjazmuje tym podrzędnym myślicielem.

W poprzednim numerze „Zetu" podaliśmy wiadomość o mianowaniu prof. Paulina Chomicza członkiem honorowym Towarzystwa Geograficznego w stolicy Peru, Limie, i to *za jego pracę nad dziełami matematyczno - astronomicznemi Wrońskiego*, temi samemi, o których w Polsce głucho jak w studni. Niesłychane, co?! Francuzi wypuścili ostatnio drugie wydanie pism matematycznych Wrońskiego, a w naszej Kasie Mianowskiego leży polski przekład tych pism („Wstęp do filozofji matematyki") od wielu lat, bez nadziei opublikowania. Ciekawym możemy opowiedzieć więcej jeszcze takich historyjek

Metoda p. Waligóry

W wypadku p. Waligóry zastraszającem jest to: krytyk, który drugich chciałby uwolnić od obsesji boyizmu, sam nią jest opanowany do tego stopnia, że jak jeden problem przesłania mu inne: płeć, tak zna tylko jedną metodę badań: plotkę. Wszystkie zagadnienia naszego Przeznaczenia i Losu, które stawia Wyzwolenie, ten krytyk zredukował do kwestji seksualnej, o której w Wyzwoleniu mowy nie ma, skoro tam Autor załatwia się z temi sprawami na trochę wyższym planie: w scenie z Hestją i w rozmowie o niemarnowaniu krwi naszych kobiet. Boy tak owładnął wyobraźnią p. Waligóry, że ten nie mogąc w rysach Genjusza rozpoznać naszego balonikowego odrodziciela, rozpoznał w nich jego „mistrza". I jak Boy odkrył Dajbelkę, tak p. Waligóra postanowił odkryć Genjusza-Przybyszewskiego.

Ale tu trzeba wziąć w obronę Boya. Boy dokonał swego odkrycia w celach dość specjalnych („czy jestem bożym poetą, czy tylko zwyczajną świnią?" — pytał ongi sam siebie a teraz z kolei stawiał to pytanie „koledze" Mickiewiczowi), ale plotkę swoją oparł na rzeczywistych dokumentach, na znajomości tekstów oraz spraw i ludzi, o których pisał. Dla p. Waligóry tekst Wyzwolenia nie istnieje. Gdy się nim zajmuje, czyni to stale sposobem tego filologa, co to — *alopex*, *opex*, *pex*, *pux*, *Fuchs* — niemieckiego lisa wywodził z łaciny. Polecam humorystom ustęp dowodzący, że słowa: „krzyżowej męki upiorze" dotyczą Przybyszewskiego („Wyzwolenie Wyzwolenia" str. 103) oraz ten drugi dowodzący, że opisem jego wejścia na scenę — „w trzewikach dziurawych, w surducie świecącym i poplamionym, z wzrokiem pałającym alkoholem" i t. d. — jest opis wejścia Genjusza. Genjusz jawi się przy dźwiękach muzyki a Przybyszewski, jak wiadomo, grywał na fortepianie (tamże str. 88). Gdy p. Waligóra dowie się jeszcze, że tą muzyką był marsz żałobny Szopena, którego Przybyszewski jak Nos Wesela, zaszczycał specjalną predylekcją — będzie miał argument ostateczny i niezbity, w rodzaju wszystkich — bez wyjątku — swoich argumentów.

Czytelnicy „Zetu" mieli próbki tej argumentacji. Genjusz zwał się pierwotnie Widmem, Feldman nazywa gdzieś Przybyszewskiego cieniem, więc Genjusz jest Przybyszewskim; albo: K. Tetmajer w r. 1898 pisał w „Życiu" o Przybyszewskim: „*Chapeau bas, messieurs, c'est un génie*", Wyspiański to sobie zapamiętał i nazwał Przybyszewskiego Genjuszem i t. d. Daremnie byłoby tłumaczyć, że dla Wyspiańskiego zdanie K. Tetmajera i niczyje wogóle, nie liczyło się, a kto istotnie był lub nie był genjuszem, sam wiedział najlepiej; że co do Feldmana, który tu wlazł jak Piłat w Credo, to jako krytyka brać go na serjo nie mógł i nie brał (patrz znany wiersz „Jeśli kto nie rozumie czego") i t. d. Co krok włazi się w plotkę po uszy, a że autor „Wyzwolenia Wyzwolenia" nie ma o tych sprawach pojęcia — więc je „przyrządza", podobnie jak teksty. Dla ludzi, którzy znali te czasy i te stosunki, trudno o bardziej rozweselającą lekturę.

Ale nie chcę się pastwić nad p. Waligórą. Jest to zbyt łatwe a jego dobre intencje na to nie zasługują. (Przytem zmusił mnie do zajęcia się sprawą Genjusza, za co mu nie mogę być wdzięczny, ale co może było konieczne). Gdy p. Waligóra dowiedzie, czego nie dowiódł zarówno w swej odpowiedzi jak na 247 stronach swych rozpraw t. j. że Wyspiańskiemu choćby na chwilę przyjść mógł do głowy żakowski koncept ukrywania Przybyszewskiego w posągu Mickiewicza — chętnie znów podejmę rozmowę. Tymczasem zapewnić go mogę, że się myli sądząc, że można zwalczać seksualno-plotkarską krytykę — karykaturą jej własnej metody.

A. Ł. C.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.